POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 1-go marca 1941r.** **Rok III. Nr. 9**

ZBROJNE BEZROBOCIE

Tragiczna "wiosna" Francji nie przestaje pasjonować. Najciekawsze są w tej sprawie głosy samych Francuzów. Znany polskim żołnierzom, dzięki swej "Historii Anglii" André Maurois wydał książkę "*Tragédie en France*" ("Tragedia we Francji"). Książka nie spełnia tego, co obiecywało nazwisko znakomitego znawcy stosunków francusko-angielskich, a dzięki temu, francuskiego oficera łącznikowego z tamtej wojny, a łącznikowo-propagandowego przy korpusie angielskim we Francji w tej, która się jeszcze toczy, choć we Francji na razie toczyć się przestała. Książka Maurois przynosi jednak miejscami istotny materiał anegdotyczny, który tu i ówdzie nasuwa ciekawe zestawienia i wnioski.

Jest jedno miejsce w tej książce, któremu szczególnie warto przypatrzeć się bliżej. Pamiętamy wszyscy mając w sercu i oku straszliwy widok "września", nasze odruchowe wrażenie po zawitaniu do pierwszego przygranicznego miasteczka francuskiego: — To tak wygląda kraj prowadzący wojnę?

W marcu w Marsylii ulice pełne były zmobilizowanych żołnierzy, których magazyny wojskowe nie były w stanie ubrać. Na każdym kroku można było widzieć mężczyzn w wojskowych bluzach i cywilnych spodniach, czy tylko w samych furażerkach. A równocześnie sklepy pełne były "papierosów dla armii," "chusteczek dla armii," bah! "biżuterii dla armii," czy dziesiątków innych nieistotnych drobiazgów . . . dla kochanej armii. Obok wisiały mocno wesołe i mocno głupiutkie karykatury Hitlera i jego sztabu. Pierwsze wrażenie: Francja kpi niepoważnie z bardzo poważnego wroga i bawi się swoją armią, bawi się jak piękna, nierozsądna matka, co nie dba o naukę czy buty syna, ale obdarza go stale efektownymi chusteczkami, wiecznymi ołówkami, ładnymi grzebykami, rozpieszcza go i pozwala mu nic nie robić.

Gdyśmy bliżej weszli w życie wojska francuskiego, to stwierdziliśmy, że całe wojsko żyło "*permissionami.*" Cały kraj był na nie nastawiony. Na pocztówkach, na fotografiach, w pismach: "*permission*" i "*permission*"—stale ten sam refren. Dla żołnierza najważniejszą sprawą był urlop. On regulował życie. On go odrywał od wojskowej jednostajności.

To wszysyko przypomina się, gdy czytamy u Maurois'a: "Nikt nie zdawał się myśleć o niebezpieczeństwie ataku nieprzyjacielskiego; wszyscy mówili o niebezpieczeństwie nudy." W wojsku jest nudno!—krzyczano. Trzeba drogim chłopcom ułatwić "odbycie wojny." A więc — notuje Maurois—w Paryżu i w Londynie tworzono: lekturę dla armii, rozrywki dla armii, music-hall dla armii, sport, sztukę, literaturę, teatr—tylko wojaczki w tym wszystkim brakowało, brakowało pamięci, że jest wojna, o której nie wolno zapomnieć, której nie można uniknąć, którą trzeba rozegrać i wygrać.

Tyle już razy i tak wiele wydawaliśmy my—rozżaleni Polacy—sądów nietrafnych o przyczynach upadku Francji, że tylko z ogromną rezerwą ryzykuję zdanie, że może takie a nie inne podchodzenie do żołnierza w ciągu ośmiu miesięcy wpłynęło na to, co się stało w maju i w czerwcu. Człowiek się rozleniwia; w atmosferze łatwizny, ciepła, wygód—traci fizyczną odporność. W atmosferze ogólnego politowania, pośród ludzi biegających dokoła, wiecznie stroskanych o gardziołko i o nudę, niańczących i pochlebiających — traci odporność duchową. Można być zwolennikiem t.zw. życia ułatwionego, widząc w jego "zniewieściającym" wpływie najlepszą rękojmię pokoju,—nie mniej w czasie wojny, lub w położeniu geograficznym grożącym napadem taki styl życia narodu jest samobójstwem. Równie banalne, co i prawdziwe jest zdanie, że trudy i niewygody hartują.

Sprawa ta łączy się z bardzo poważnym zagadnieniem, z którego każdy żołnierz biorący w tej dziwnej wojnie udział winien sobie dobrze zdać sprawę.

Niemiecka doktryna wojenna "*Blitzkriegu*" okazała się słuszna. Stała się regułą wojny. Nie wykoncypowali jej Niemcy. Narzucił ją karabin maszynowy, samolot, czołg, i samochód. Dzisiejsze maszyny wojenne zabijają prędzej i jadą prędzej. Stąd "*Blitzkrieg.*" Jeżeli oczywiście pod "Krieg" podstawimy znaczenie nie "wojny" jako całości, ale czas bezpośrednich starć lądowych.

Ta krótkość bezpośrednich działań wymaga ogromnych ilości czasu na ich przygotowanie. Gdy sztab i fabryki pracują armia mieszka koszarowym trybem i ćwiczy się tylko—w atmosferze bardzo pokojowej, atmosferze jednostajnej i nudnej, pozbawionej emocji ryzyka i walki, która to emocja ma dla żołnierza ogromny walor. Życie koszarowe przykre w czasie pokojowym, gdy się zna jego kres, staje się jeszcze bardziej dolegliwe teraz, gdy końca jego określić nie sposób.

Stajemy przed najtrudniejszym bodajże zagadnieniem tej wojny—zagadnieniem chwilowo bezrobotnego wojska. Dziś nie występuje ono jeszcze z siłą, dlatego, że wojna trwa dopiero półtora roku. Za rok może wystąpić silniej. Jest to problem każdej armii. U Niemców ewentualny kryzys może być nawet ostrzejszy, gdyż żołnierz niemiecki jest przeciętnie o 10-12 miesięcy dłużej w wojsku, niż żołnierze alianccy.

Bezrobotna armia—to wojsko tęskniące do urlopów, popadające w "kwietyzm," rozleniwiające się. Żołnierzom stan takiego nieróbstwa, gdy jeszcze warunki mieszkaniowe i otoczenia są niezłe—zaczyna przypadać do gustu. Przestają myśleć o wojnie, zatracają impet, wolę i zdolność walki. Do tego dochodzą wzmagające się zatargi osobiste, ambicyjki awansowe—wszystkie objawy, trapiące zawsze bezrobotną masę ludzi skazanych na stałe wspólne przebywanie w przypadkowo dobranych zespołach. Jednym słowem: bezrobocie armii powoduje jej demoralizację.

W zamierzeniach i zabiegach społeczeństwa francuskiego nie leżało uchronienie od tej demoralizacji. Po prostu dla tego, że nie znano tego nowego problemu nowej wojny—bezrobocia armii. Obserwowano sam fakt tylko: żołnierzy znudzonych bezczynnością. Trzeba im życie umilić, rozerwać ich nieco. Inna forma nie przyszła na myśl. Przyjść nie mogła tym, których doktryną wojenną była postawa tylko obronna, ufnym w spokój, gwarantowany linią Maginota. Działo się to wtedy, gdy Hitler świadomy znaczenia czynnika duchowego w wojnie widział spełnianie się swojej groźby: "*je pourrirai votre guerre*" ("doprowadzę to tego, że wasza wojna ulegnie rozkładowi").

Ale zjawisko, które zdarzyło się we Francji jest równie groźne dla 5-milionowej, nie mającej nic do roboty armii niemieckiej, której się przy tym dobrze żyje w krajach okupowanych. Kto wie, czy tak częste ruchy wojsk niemieckich nie są spowodowane chęcią przeciwdziałania skutkom bezczynności wojska? Kto wie czy i nie tu należy szukać źródła co raz to nowych posunięć sztabu i dyplomacji niemieckiej, gdyż armia musi się ruszać, musi szukać gwałtownie namiastek tej wojny, tej emocji—na przeszkodzie której stoi kanał.

Problem ten stoi przed armią angielską. Problem ten stoi i przed naszym wojskiem.

Nie stanowią rozwiązania sprawy ćwiczenia i manewry urządzane nawet w największych ilościach. Są one z natury swej markowane. Stosowanie ich w nadmiernej ilości może powodować w wojsku reakcję "nieprzejmowania się," tępi wrażliwość i czujność. Po drugie—demoralizacja płynąca z bezrobocia jest wtedy szczególnie niebezpieczna, gdy żołnierz podlega działaniu bezczynności nieświadomie, gdy sobie z niej nie zdaje sprawy, gdy nie orientuje się, że to ona właśnie jest przyczyną jego złego samopoczucia.

Doszliśmy do sedna zagadnienia. Dowództwo nie jest w możności stworzyć stale autentycznych sytuacyj wojennych. Nie zawsze może i chce prowadzić politykę stałej awantury, jak Hitler. Może ono zwiększać ilość służb i czynić je co raz cięższymi, może nie dopuścić do stworzenia atmosfery takiej, jaka powstała we Francji. Tu się jednak rola jego urywa.

Zasadniczą walkę ze skutkami bezczynności armii musi każdy żołnierz prowadzić sam w sobie. Przez zdanie sobie z tego zjawiska sprawy i duchowe uodpornienie się na jego działanie. Przez zajęcie sobie maximum wolnego czasu jakąś poważną, zaprzątającą go pracą umysłową czy fizyczną. (Tu pomagają mu w części t.zw. Referaty Kulturalno - Oświatowe). Wreszcie przez ochotnicze staranie się o służby możliwie najciekawsze i aktualnie najniebezpieczniejsze. To ostatnie do czego jednak nie wszyscy mają dostęp—jest odtrutką najszacowniejszą.

Istnieje ciężki problem. Jego zasadnicze rozwiązanie zależy od każdego żołnierza. Dlatego każdy żołnierz polski winien sobie z niego dobrze zdać sprawę. Winien pamiętać, przypominać nieustannie sobie i innym, że jest wojna, że nic, absolutnie nic—ani sprawy osobiste, ani spory polityczne, ani projektowanie ideologiczne—nie jest od niej ważniejsze. Że od wojny, od postawy każdego z nas w próbach i w tych jeszcze cięższych przerwach między próbami zależy wszystko, absolutnie wszystko—i prawo do swobodnego życia osobistego i ważność takiej czy innej polityki, takiej czy innej ideologii.

Trzeba pamiętać i przypominać o wojnie. Bo gdybyśmy zapomnieli, mogłaby nadejść chwila, że musielibyśmy tego żałować.

Obóz Polski

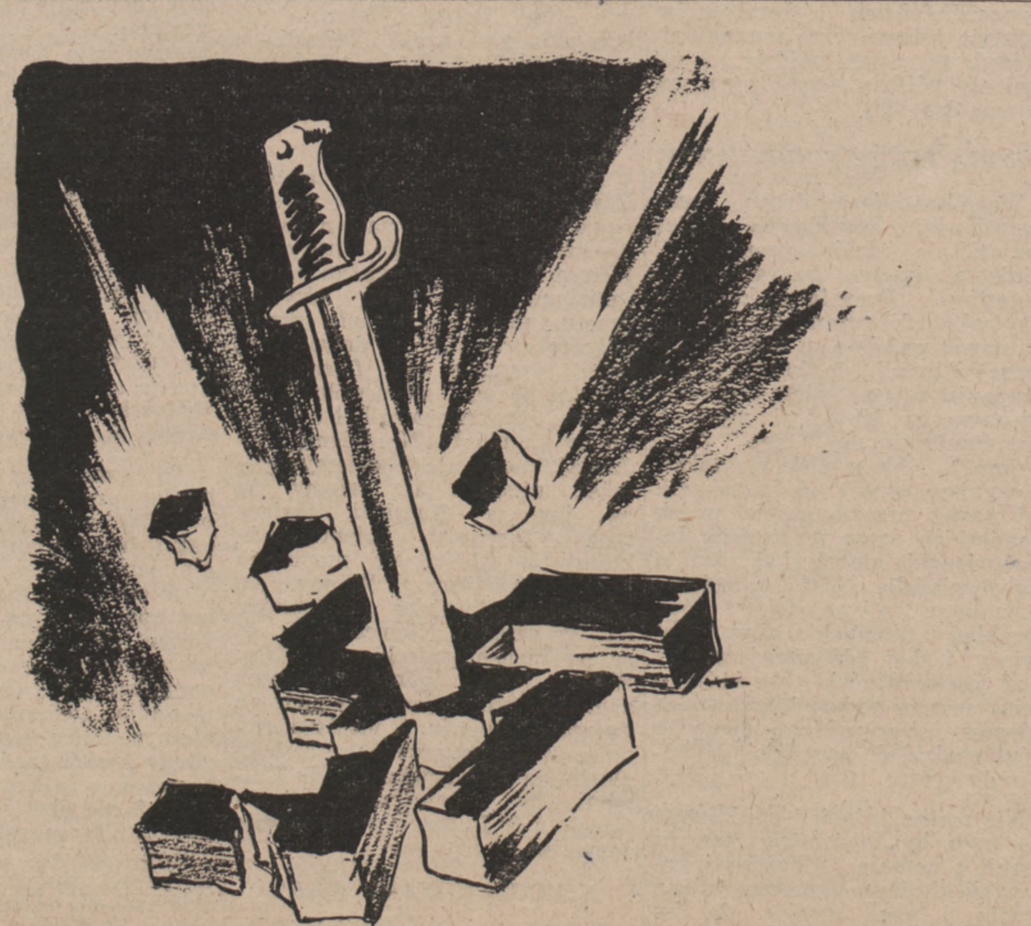
Wiktor Winiarski

"*Mamy wszystko gotowe. Jesteśmy oczywiście znacznie silniejsi, aniżeli byliśmy kiedykolwiek przedtem. Jesteśmy bez porównania silniejsi, aniżeli w lipcu sierpniu i wrześniu.*

Muszę jednak rzucić słowo przestrogi: po tchórzostwie i zdradzie, nadmierna wiara we własne siły, wiodąca do niedbalstwa i lenistwa, jest największą zbrodnią wojskową. Dlatego rzucam słowo przestrogi. Ubiegłej jesieni hitlerowski najazd na W. Brytanię był tylko operacją zaimprowizowaną. Hitler uznał bowiem za rzecz niemal pewną, iż gdy Francja skapituluje, my także zrezygnujemy z walki. My nie ustąpiliśmy i Hitler musiał rozważyć sprawy raz jeszcze.

Inwazja będzie zorganizowana znacznie dokładniej, nastąpi po znacznie staranniejszych przygotowaniach i przy użyciu statków, oraz rozmaitych przyrządów, które zaprojektowano i zbudowano w ciągu miesięcy zimowych. Musimy być wszyscy przygotowani do stawienia czoła atakom gazowym, atakom spadochroniarzy i atakom szybowców, musimy bez przerwy przewidywać uderzenia i ćwiczyć się w ich odpieraniu."

(Z ostatniego przemówienia premiera Winstona Churchilla)



rysował Bronisław Horowicz

Szkic sytuacyjny

NOWY OKRES WOJNY?

Żyjemy w dobie przygrywek do wydarzeń jeszcze niezupełnie wyjaśnionych. Zarysy tych wydarzeń można wyczytać, ale nie wyszły one jeszcze z okresu tworzenia się i urabiania. Innymi słowy: jesteśmy jeszcze w dobie dyplomacji i polityki, która poprzedza poczynania czysto strategiczne i wojskowe.

Dyplomacja i polityka na Bałkanach dowodzi, że Rzesza przygotowuje uderzenie na wielką skalę ku pobrzeżu Morza Śródziemnego. Otwierało by to nową kartę wojny — kampanię śródziemnomorską, w której padły na razie pierwsze zapowiedzi i atuty: brytyjska Libia.

CO OZNACZA KAMPANIA ŚRÓDZIEMNOMORSKA?

Dotychczas w tej dziedzinie toczyła się walka między Włochami i Anglią. Ofensywa brytyjska zapędza się daleko na zachód w Libii: celem jej jest niedwuznacznie Tripolis. Gdy zostanie opanowany ten niezwykle ważny punkt, Libia jest przekreślona dla Włochów.

Graziani nie posiada wielkich sił. Ma do swego rozporządzenia już tylko 4 dywizje i to mocno zdemoralizowane. Stan jego lotnictwa jest przypuszczalnie słaby, jeżeli nie żałosny. Sporo maszyn włoskich przepadło na ziemi: lotniska włoskie zostały zaskoczone atakami brytyjskimi, liczne aparaty włoskie rozbite na lądowiskach. Graziani nie pokazał, ażeby miał w rozporządzeniu stawkę pościgowców, mogących opierać się brytyjskich atakom. Jest on odsłonięty z powietrza, zdany na łaskę Anglików.

W tych warunkach spoziera on ku—drodze odwrotu. Na to potrzeba zgody Francji. Czy Francja przepuści włoskie oddziały, w to należy wątpić. Raczej—internuje je w Tunisie.

Czy możliwe jest jeszcze uratować Grazianiego? Nie wiemy, ale wydaje się to niemal wykluczone. Anglicy będą w Tripolisie prędzej, aniżeli ewentualne posiłki niemieckie. Nawet gdyby Niemcy zdecydowali się na rzucenie posiłków drogą powietrzną, nie może być tego wiele. Brak byłoby tym oddziałom czołgów. Nie wiemy też, czy istnieją przygotowania na pozostałych lotniskach włoskich w Libii dla przyjęcia niemieckich bombowców i pościgowców. Wydaje się, że nie mogą one już teraz ryzykować takiej przeprowadzki.

Innymi słowy Niemcom pozostaje tylko metoda wypadów z Sycylii ku Libii i bombardowania za dnia oraz w nocy zdobyczy angielskich.

Jeżeli Rzesza zdecyduje się na przejście do ataku na wielką skalę w stronę Morza Śródziemnego, oznacza to, że walka w tym basenie zmienia się w starcie niemiecko-angielskie i że Włochy spadają do roli widza.

NOWY TEREN DLA RZESZY

Niemcy nie należą do improwizatorów. Sztab ich wychodzi ze słusznego przekonania, że o kampanii decyduje przygotowanie; już Napoleon powiedział bodaj, że bitwy wygrywa się lub przegrywa przedtem, nim się je zaczęło. Niemcy przygotowują starannie swoją kampanię śródziemnomorską.

I mają rację. Jest to dla Rzeszy *nowe doświadczenie.* Oczywiście, Rzesza zna Bałkany z wojny światowej, miała w swoim ręku Rumunię, miała Bułgarię, była w Turcji. Nie są to zatem tereny nowe dla strategii niemieckiej (nie zakosztowała ona tylko doświadczeń w Grecji). Chodzi jednak o to, że Rzesza niemiecka nie uderzała jeszcze nigdy ku Morzu Śródziemnemu na wielką skalę, że *nie próbowała walki od Gibraltaru aż po Złoty Róg.*

To jest nowy czynnik w sytuacji i on właśnie sprawia, że *poczynania niemieckie zaczynają być ryzykowne.*

ATAK BEZ FLOTY

Niemcy chcą zabrać się do Morza Śródziemnego nie posiadając floty—a jeżeli, to posiadając flotę włoską. Nawet jeżeli dotychczas używali niewątpliwie pewnych jednostek podwodnych włoskich, to nic nie było wiadomo o tym, ażeby położyli już rękę na flocie włoskiej. Nie jest jednak wykluczone, że Włosi zrzekną się i tego atutu na rzecz Niemiec.

Niemcy chcą wypróbować swojej strategii lądowo-powietrznej. Uważają oni, że będą mogli wyzwać bezpiecznie flotę wojenną W. Brytanii, posiadającą tyle zobowiązań, tyle ciężarów, jeżeli opanują niektóre punkty pobrzeża Morza Śródziemnego oraz będą posiadać odpowiednie bazy lotnicze.

Jest to próba ambitna i ryzykowna, albowiem—Anglia na Morzu Śródziemnym to dzisiaj nie tylko *Royal Navy,* ale także *R.A.F.* Nie można bezkarnie operować dzisiaj nad wodami tego morza bez brania w rachubę manewrów R.A.F.

STRASZAK JAPOŃSKI

Rzesza chciałaby operować z maximum bezkarności i bezpieczeństwa (nie jest to nowe, przeciwnie, to cecha wszystkich kampanii niemieckich). Dlatego zawiesza nad Anglią grozę inwazji (dobrze było by odciągnąć nieco jednostek *Royal Navy*), dlatego rusza straszaka japońskiego. Ale manewry te nie robią spodziewanego wrażenia: *Royal Navy* daje sobie radę a Stany Zjd. replikują na straszaka japońskiego, odpowiadając groźbą na groźbę.

Japonia spełnia posłusznie rolę straszaka, ale trzeba powiedzieć, że spóźniła się o parę miesięcy. Gdyby wyzyskała okazję zawalenia się Francji dla położenia ręki na Indochinach francuskich a nawet na Indiach holenderskich, to było by to wcale sprytne. Teraz tego rodzaju manewr piracki nie jest już możliwy: czujność została obudzona. Japonia próbuje zatem szczęścia przez pogróżki, wymachiwanie szabelką, koncentrację floty i lotnictwa. Zachodzi jednak obawa, że jeżeli militaryzm japoński zechce posunąć swoje zapały zbyt daleko, Stany Zjd. gotowe są wejść do wojny. Jeżeli zaś wejdą do wojny z racji Japonii, to niewiele dzielić już będzie Amerykę od wojny z państwami osi. *Z jednej wojny do drugiej jest mniej niż krok.*

KONCENTRACJA CZY ROZPROSZENIE?

Dotychczas Rzesza działała na zasadzie skupienia ataku, na zasadzie pełnej koncentracji. Wydawało by się, że i teraz rzuci wszystko na szalę, gdy przypuści szturm na Morzu Śródziemnym. Ryzyko akcji na dwóch frontach: przeciwko Anglii na Morzu Śródziemnym i przeciwko rdzennej Anglii, jest oczywiste i sądzić by należało, że Rzesza zechce uniknąć takiego niebezpieczeństwa. Było by to bowiem *przekreśleniem jej zasady strategicznej,* której zawdzięcza wszystkie swoje dotychczasowe sukcesy (Anglia przyjęła tę zasadę i przez koncentrację wysiłku w Libii zadała Włochom zdecydowaną klęskę).

Być może jednak, że Rzesza, uniesiona ambicją, upojona zwycięstwami, ruszy na dwóch frontach. Stan nadmiernej dufności jest groźny zarówno dla jednostek jak państw: *w tym stanie popełnia się najwięcej głupstw.*

Londyn, 16 lutego 1941.

Zbigniew Grabowski

Mgła nad Bałkanami



NIEMCY I WOJNA WŁOSKO-GRECKA

Od miesięcy już trwa wojna włosko-grecka. A mimo to po dziś dzień Niemcy, sprzymierzone z Włochami, nie są w stanie wojny z Grecją. Po dziś dzień siedzi poseł grecki w Berlinie, poseł niemiecki siedzi w Atenach. Wojna obecna tak nas przyzwyczaiła do wszelkiego rodzaju nienormalności, że o tej sytuacji prawie się nie myśli. Od czasu do czasu jedynie przypomina się ona, gdy czytamy w gazetach, że rząd niemiecki po przyjacielsku perswaduje rządowi greckiemu, że jednak powinien zawrzeć pokój z Rzymem, na warunkach podyktowanych przez Mussoliniego, bo inaczej może być źle.

Te łagodne perswazje poparte są wcale niezgorszymi argumentami. Bo, chociaż stosunki dyplomatyczne nadal są "normalne," chociaż poseł grecki nadal siedzi w Berlinie, a poseł niemiecki w Atenach—przygotowania do wejścia wojsk niemieckich na teren Grecji czynione były odawna otwarcie, obecnie są na ukończeniu i lada dzień, lada chwila masa niemieckich *Panzerdivisionen* runie na Grecję w kierunku Salonik.

Nie tylko bowiem ze względów prestiżowych "osi" Hitler nie może dopuścić do tego, by Mussolini bez reszty przegrał kampanię albańską, tak jak przegrał już kampanię afrykańską. Ten wzgląd prawdopodobnie nie byłby decydujący. Ale Hitler nie może dopuścić do tego, by wyrzucenie Włoch z półwyspu bałkańskiego ośmieliło inne narody bałkańskie do wyzwolenia się z pod hypnozy "osi." Nie może dopuścić do tego, by droga do Bosforu, za którym leżą tak ponętne pola naftowe Iraku była zamknięta.

Hitler wybiera otwartą walkę dopiero w ostateczności. Woli metody "pokojowe" jako mniej kosztowne, mniej ryzykowne. Stąd ofensywa pokojowa po zajęciu Polski, ofensywa pokojowa po zajęciu Francji. Dlatego też i w Grecji Hitler dotychczas stara się osiągnąć swój cel jedynie groźbą. Wiadomo jednak, że Grecy nie ustąpią. Wiadomo, że będzie musiał wejść w grę argument *Panzerdivisionen* i bombowców. Istnieje jeszcze tylko zagadnienie którędy ta nawała pójdzie. A raczej czy pójdzie jedną drogą, czy dwoma drogami.

DROGA PRZEZ JUGOSŁAWIĘ

Wątpliwa jest droga przez Jugosławię. Prawda, że Hitler wezwał do siebie premiera i ministra spraw zagranicznych Jugosławii. Prawda, że kusił ich nie tylko zdobyczami na Grecji, ale nawet podobno tą częścią północnej Albanii, do której Jugosłowianie zawsze mieli pretensje (ciekawe co Mussolini myśli o rozporzadzaniu się "jego" terytorium?). Ale wydaje się także, że czynnej pomocy od Jugosławii, ani nawet przepuszczenia wojsk niemieckich przez terytorium jugosłowiańskie nie uzyskał. Armia jugosłowiańska jest przeciwna przymierzu z państwami osi. Przykład rumuński zbyt jest świeży i zbyt odstraszający, by rząd jugosłowiański (do którego wciąż jeszcze wchodzi przywódca chłopów chorwackich Maczek) mógł zgodzić się na wejście Niemców do kraju.

Nie można jednak i spodziewać się tego, by Jugosławia ruszyła Grecji z pomocą. Wojska jugosłowiańskie będą zapewne stały z bronią u nogi, modląc się, by Niemcy nie zdołali Greków pokonać, by ich krajowi został oszczędzony los Rumunii i na tym koniec. Jugosławia będzie "neutralna" tak, jak neutralne były Dania i Norwegia, Belgia i Holandia, jak neutralna jest dzisiaj Irlandia. Będzie "neutralna" do tej chwili, póki ta neutralność nie stanie się dla Hitlera niewygodna.

DROGA PRZEZ BUŁGARIĘ

Druga zaś droga—droga przez Bułgarię—jest już bodaj szeroko otwarta. Zapewne król Borys nie z lekkim sercem musiał się na to zdecydować. Pamięta chyba dobrze, jaki los spotkał jego ojca, który także związał się z Niemcami. Wie o tym, że naród bułgarski nie pragnie przymierza z Niemcami.

Jeszcze kilka tygodni temu wydawać się mogło, że Bułgaria nie przepuści Niemców bez walki. Co prawda propozycja rosyjska paktu wzajemnej pomocy została odrzucona w Sofii, czemu się zresztą dziwić nie można po doświadczeniu Litwy, Łotwy i Estonii. Ale szły układy z Turcją i Jugosławią o utworzenie bloku bałkańskiego, któryby się zbrojnie przeciwstawił napaści na którekolwiek z państw bałkańskich.

Dziś jednak klamka zapadła. Czy król Borys połasił się na skórę na niedźwiedziu, na ten dostęp do morza Egejskiego, który był jednym z głównych żądań rewizjonizmu bułgarskiego? Czy po prostu uległ otoczeniu? (armia bułgarska, to jest jej dowództwo, żywi sympatie dla faszyzmu). Czy też obawiał się rewolucji pałacowej i zatrwożony, był o życie, gdyby nie uległ? Nie wiemy tego dzisiaj, może nie będziemy wiedzieli nigdy. Ale wiemy, że są już w Bułgarii tysiące tych "turystów" niemieckich, którzy w właściwym momencie nałożą mundury. Wiemy, że wszystkie lotniska bułgarskie są w ręku Niemców i że są na nich niemieckie samoloty. Wiemy, że kilkuset-tysięczna armia niemiecka jest zgromadzona na brzegu Dunaju, że mosty pontonowe są już przerzucone i że lada chwila ta armia wkroczy do Bułgarii, by później uderzyć na Grecję, i że Bułgaria się temu nie sprzeciwi.

NIEOCZEKIWANY PAKT

Czyż można się więc dziwić, że w tych warunkach wiadomość o tym, iż Turcja, sprzymierzona z Anglią, sprzymierzona z Grecją, zawarła z Bułgarią właśnie pakt o nieagresji padła, jak grom z jasnego nieba. Czyż można się dziwić, że prasa niemiecka i prasa włoska przywitały ten pakt, jako wielkie zwycięstwo dyplomatyczne, że zaczęły pisać o odwróceniu polityki tureckiej. Czyż można się dziwić, że pierwsza reakcja prasy amerykańskiej była tak samo wybitnie ujemna.

Jeżeli jednak przyjrzeć się sprawie bliżej, szczególnie uwzględniając komentarze prasy tureckiej to należy uznać, że radość w Berlinie i Rzymie była może jednak przedwczesna.

DWIE OCENY TEGO PAKTU

Półoficjalny komentarz sfer londyńskich tak tłumaczy zawarcie paktu. Rokowania turecko-bułgarskie, powzięte z inicjatywy Turcji trwały już dość długo. Jeżeli więc teraz Sofia wyraziła chęć podpisania paktu, to—chociaż warunki się zmieniły—odmowa turecka była niemożliwa. Podpisanie paktu bynajmniej jednak nie oznacza, że gdyby wojska niemieckie weszły do Bułgarii, to tureckie nie weszły by, jednocześnie z drugiej strony. Turcja bowiem zastrzegła w pakcie, że nie narusza on jej obowiązków sprzymierzeńczych wobec Wielkiej Brytanii. A wojska tureckie nadal stoją—w pełni zmobilizowane—na granicy bułgarskiej. Zresztą, nawet gdyby wojska tureckie się nie ruszyły, to wystarczyło by, by Turcja udzieliła baz dla lotnictwa brytyjskiego, by kampanię bułgarską mocno utrudnić.

To tłumaczenie jest oczywiście bardzo prawdopodobne, ale najbardziej optymistyczne. Jest jednak i druga ewentualność. Turcja nie zareaguje na wejście wojsk niemieckich do Bułgarii. Pozwoli bez sprzeciwu na zajęcie Grecji. Uczyni tak nie dlatego, by sobie nie zdawała sprawy z niebezpieczeństwa, jakie dla niej przedstawia zajęcie Grecji i Bułgarii. Nie dlatego, żeby nie wiedziała, że wtedy o wiele trudniej będzie uratować Turcję Europejską, aniżeli dzisiaj, ale dlatego, że Stalin tak nakazał, że zagroził wejściem do Turcji, gdyby się Turcy *dziś* Hitlerowi sprzeciwili. Bułgaria bowiem—po odrzuceniu przez nią paktu z Moskwą—została przez Stalina uznana za domenę hitlerowską. Oficjalnie oświadczono w Moskwie, że los Bułgarii ZSSR nie interesuje. A podpisanie paktu było poprzedzone długą wizytą ambasadora rosyjskiego u ministra spraw zagranicznych Turcji Saradżoglu.

W. BRYTANIA GOTUJE RIPOSTĘ

Nawet jeżeli jednak przyjmiemy to pesymistyczne tłumaczenie, jeżeli uwierzymy, że i Turcja prowadzić będzie politykę norweską czy holenderską, to jest, że czekać będzie do ostatniej chwili, to mimo to powinniśmy przyjąć za pewnik, że w razie gdyby po zajęciu Grecji pochód niemiecki poszedł dalej w kierunku cieśnin, to Turcja wtedy podejmie walkę, tak jak podjęły ją Holandia i Norwegia.

Pamiętajmy zresztą, że Eden jest w tej chwili na Wschodzie. Jeżeli minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii porzucił na kilka tygodni kraj, jeżeli wziął na siebie to ryzyko, jakim jest przelot samolotem nad Morzem Śródziemnym, to możemy być pewni, że gra dyplomatyczna nie jest zakończona.

I jeszcze jedno. Mówimy: *Panzerdivisionen* skoncentrowane w Rumunii. Mamy w oczach maleńką Grecję, któraby musiała prowadzić walkę na dwa fronty z dwoma wielkimi mocarstwami. Mamy w pamięci pochód tych dywizyj przez Polskę, Belgię, Holandię, Francję. . . . Nie dajmy się jednak zahypnotyzować podobieństwami.

Był niedawno jenerał Wavell w Atenach. Towarzyszy Edenowi szef sztabu jeneralnego. Były bardzo dokładne i bardzo ścisłe rozmowy między sztabowcami brytyjskimi a tureckimi. To wszystko, czego nie było przed napadem na Norwegię, czego nie było przed napadem na Holandię. "Niespodzianki" tym razem nie będzie. Nie będzie tego, by wojska śpieszące z odsieczą się spóźniły.

Nawet gdyby Turcja w pierwszej fazie pozostać miała neutralna, droga do Salonik nie będzie spacerem wojskowym.

Czesław Poznański

POLSKA 1940

IV.—Warunki zarobkowe i aprowizacyjne*

Żniwa 1940 roku wypadły w Polsce źle. W lipcu często padały deszcze. To też obawiam się, że sytuacja aprowizacyjna w Polsce jest obecnie o wiele gorsza, niż w roku 1939-40, a przecież już wtedy była bardzo trudna. Oczywiście można się było pocieszać:

—Skoro u nas żniwa nie nadzwyczajne, to i w Niemczech, a Anglia ma inny klimat, zresztą ona kupuje zboże na drugiej półkuli.

No, ale takie pocieszanie się nie rozwiązuje zagadnienia, jak przetrwają drugi rok wojny ludzie, którzy już w pierwszym roku odżywiali się licho i nadwątlili swe siły.

Co prawda w pierwszym roku wojny istniały jeszcze na terenie Gen. Gubernatorstwa pewne zapasy w sklepach i w zamożniejszych domach prywatnych, ale niemiecki system organizowania wyżywienia zawiódł. Niemcy stale przechwalają się swym zmysłem organizacyjnym, umiejętnością wprowadzania ładu i porządku, ale na terenie Polski egzaminu nie zdali. Prawda, że np. koleje uruchomili bardzo szybko, poczta też wkrótce zaczęła co raz lepiej funkcjonować, ale jeśli chodzi o życie gospodarcze, to tu rzucały się w oczy: chaos, łapownictwo, biurokracja, zarządzenia urzeczywistnione tylko na papierze.

System kartkowy wprowadzono nierównomiernie i nie jednocześnie. W niektórych miastach kartki na chleb wprowadzono w listopadzie 1939 roku, w innych dopiero w lutym 1940. Gdzie niegdzie dawano 1 kg. chleba na tydzień (14 dkg. dziennie), w innych—1 kg. 75 dkg. Chleb był ciemny, prawie czekoladowego koloru, zdarzały się jednak i takie miasteczka, w których był całkiem dobry, prawie jasny.

Nim wprowadzono kartki na chleb, powszechnym zjawiskiem były t.zw. ogonki. Nie wiem, gdzie osiągnięto rekord pod tym względem. Z tego co ja widziałem i słyszałem, to chyba w Tarnowie. Tam w pierwszej połowie lutego 1940 ludzie stawali przed piekarniami koło 12-tej w południe, by docisnąć się nazajutrz o 6-tej rano do okienka, przy którym sprzedawano chleb. Ponieważ jednak 18 godzin w "ogonku" i to podczas mrozów, nikt by nie wytrzymał, więc się zmieniano. Najpierw stały dzieci, potem matka, następnie ojciec—i tak aż do rana.

Po wprowadzeniu kartek "ogonki" skurczyły się, zmalały, ale nie znikły. Żeby dostać np. mięso (20 dkg. na tydzień), jeszcze trzeba było stać parę kwadransów, a czasem i parę godzin. O przydzielaniu Polakom słoniny nigdy i nigdzie nie słyszałem. Masło mogli czasem dostać niektórzy Polacy, zatrudnieni w urzędach. Czasem dawano na kartki jajka, np. w sierpniu 1940 roku w Krakowie. Z cukrem było źle. Dostawało się go nieregularnie. Między jednym a drugim przydziałem mijały czasem 3—4 miesiące. W rezultacie ludność miast na terenie Gen. Gubernatorstwa dostawała 35—40 dkg. cukru miesięcznie, a w wielu miastach jeszcze mniej.

To, co było na kartki, nie kosztowało zbyt dużo. Ceny cukru, chleba, mięsa—były wyższe, niż przed wojną, ale różnica była nieznaczna. Ale z tego, co na kartki, nikt by nie wyżył, więc trzeba było kupować dodatkowo, z wolnej ręki. A to kosztowało dużo. Np. ziemniaki kupowałem dla swego skromnego gospodarstwa w jesieni 1939 po 9 zł. za 100 kilo, ale to było właściwie w drodze wyjątku i dzięki transakcji w dużym majątku ziemskim. W roku 1940 na przednówku ziemniaki kosztowały w większych miastach około 70 zł., potem—gdy się pokazały nowe, młode ziemniaki—potaniały. Cukier w wolnym, potajemnym handlu kosztował około 7 zł. kilogram. Mówię oczywiście o cenach w pewnym tego słowa znaczeniu "normalnych," przeciętnych, nie biorąc pod uwagę okresów wyjątkowych, np. w Warszawie tuż po kapitulacji.

Fala drożyzny podniosła się szczególnie silnie w maju 1940, w okresie wymiany złotych Banku Polskiego na złote Banku Emisyjnego. Chłopi odnosili się do papierków p. Franka (t.zw. "młynarek") bardzo nieufnie, jak zresztą cała ludność i ceny wtedy mocno podskoczyły. Gdy się jednak przekonano, że nowe banknoty są powszechnie w obiegu i można nimi wszystko płacić, nastąpiło uspokojenie i ceny trochę spadły.

Okupanci ogłaszali różne taryfy maksymalne—rezultat był taki, że towar znikał z rynku. Wobec tego policja zaczynała patrzeć przez palce na sprzedaż żywności po cenach cztery lub pięć razy wyższych i towar znów się zaczynał pokazywać. Wieś była w tym wypadku stroną silniejszą. Chłop wiedział, że bez nafty, mydła, nici jakiś czas wytrzymać można, ale bez mleka, ziemniaków i mąki—nie. Inteligent, jeśli nie znajdzie żywności na targu w mieście, to przyjdzie jej szukać na wsi.

Słyszało się czasem w miastach narzekania na chciwość chłopów. Ale ci, co narzekali, zazwyczaj nie zdawali sobie sprawy z tego, że chłop musiał płacić słone ceny za artykuły przemysłowe, np. za 1 kg. mydła 25 zł., za naftę, nici, żelazo. O zaopatrzenie wsi okupanci dbali jeszcze mniej, niż o zaopatrzenie miast. Dopiero wtedy, gdy spostrzegli, że rekwizycje są niezbyt skuteczne, wpadli na pomysł prowadzenia handlu zamiennego. Np. za 13 jaj dawano 1 kg. cukru. Na ogół jednak wieś odczuwała ogromne braki pod względem zaopatrzenia w artykuły przemysłowe.

Ale jeśli nawet położenie chłopów w stosunku do innych warstw było lepsze, niż przed wojną, to nie zapominajmy, że sytuacja była przed wojną, zwłaszcza w okresie kryzysu gospodarczego, wysoce nienormalna. Nie powinno być tego w przyszłości, by produkcja rolna była nieopłacalna, by chłop sprzedawał swe produkty bardzo tanio, a sam nie dojadał i wpadał w długi. Inaczej musi się przedstawiać struktura socjalno-gospodarcza w nowej Polsce.

Podobne uwagi nasuwają się przy ocenie gospodarczej sytuacji proletariatu robotniczego. Gdy się mówi o głodzie w Polsce, czy uświadamiamy sobie dobrze, że już przed wojną wielu robotnikom groził głód, że właśnie ta warstwa była dziesiątkowana przez gruźlicę, że niskie zarobki nie pozwalały wielu, bardzo wielu robotnikom wydźwignąć się z dna nędzy. Obecnie oczywiście robotnikom nie zagrażają niektóre zarządzenia zaborców. Np. nie rekwiruje się ich mieszkań ani mebli, bo w tych ubogich i zatęchłych izdebkach nie zgodziłby się mieszkać żaden Niemiec. Nie są też robotnicy narażeni na rabunek lepszej odzieży lub srebra stołowego, bo tego nie mieli. Nie dotyka ich też niemożność jeżdżenia 2-gą klasą, ani chodzenia do teatru, bo na to pieniędzy nigdy nie mieli. Ale oczywiście z tego powodu ani robotnikom ani chłopom zazdrościć nie można.

Z tymi więc wszystkimi zastrzeżeniami można by powiedzieć, że w najgorszym położeniu znalazła się inteligencja. A szczególnie ciężkie jest położenie emerytów. Emerytury są niskie, głodowe, starość nie pozwala ani na rozpychanie się w "ogonkach," ani na piesze wędrówki po wsiach w poszukiwaniu żywności.

Wśród inteligencji bezrobocie jest szczególnie duże. Pracownicy samorządowi jeszcze mają się jako tako, ale co mają robić artyści, literaci, dziennikarze, profesorowie? Rozumieją oni, że trzeba się brać do innych zawodów, ale w tym sęk, że konkurencja jest bardzo silna. Przecież z terenów wcielonych do Rzeszy wysiedlano przede wszystkim inteligencję, a jeszcze przed tymi brutalnymi, masowymi wysiedleniami wielu wyjechało z własnej inicjatywy, przeczuwając co ich czeka. Z okupacji rosyjskiej też przybyło trochę inteligentów.

Tak więc liczba inteligentów, którzy przerzucili się np. do handlu, jest pokaźna. Znałem profesorów gimnazjalnych, którzy zabrali się do fabrykowania i sprzedawania mydła. Nawiasem mówiąc podręczniki uczące fabrykacji różnych namiastek (np. "Fabryka w domu") należą do tych bardzo poczytnych a wyjątkowych książek, jakie się w języku polskim ukazały.

Nawet w najtrudniejszych warunkach społeczeństwo odczuwa konieczność zaspakajania swych potrzeb kulturalnych i wydawało by się, że tu część bezrobotnych inteligentów znajdzie pole do pracy. Np. weźmy dziedzinę prywatnego nauczania. Byli ludzie (np. kupcy), którzy mieli na to, by kształcić prywatnie swe dzieci. Ale cóż! W maju 1940 roku p. Frank zakazał prywatnego nauczania i stało się jasnym, że to nie brak budynków, zajętych przez wojsko, nie obawa przed rozszerzaniem się epidemii, lecz po prostu wyraźna chęć niszczenia polskiej kultury stoi na przeszkodzie uruchomieniu szkolnictwa średniego i wyższego. Uczyć się czytać i pisać pod kontrolą władz—to jeszcze wolno, no bo przecież w nowym, hitlerowskim "raju" proletariusz-Polak powinien umieć przeczytać napisy na maszynie i podpisać listę obecności.

Przez pewien czas bezrobotni inteligenci uczyli niemieckiego. Ludzie chcieli coś umieć, bo to czasem trzeba było przeczytać kartkę z obozu jeńców, wysłać podanie o zwolnienie jeńca-rolnika albo wreszcie sprzedać coś Niemcowi w sklepie. Próby uczenia się bez nauczycieli, tylko z książek, prowadziły do tego, że np. ambitny samouk, chcąc powiedzieć, że przed wojną był pokój, mówił: "*vor dem Krieg war das Zimmer . . .*"

Ja także uczyłem jakiś czas niemieckiego. Cena była dumpingowa (50 groszy za godzinę), więc jesienią 1939 przewinęło się przez me mieszkanie kilkunastu uczniów z różnych sfer, przeważnie niezamożnych. Patrzyłem różowo w przyszłość, bo bochenek chleba kosztował wtedy jeszcze tylko 52 grosze. Ponieważ jednak nie samym chlebem żyje człowiek, więc gdy drożyzna wzrosła i moje honorarium przedstawiało wartość półtora jajka, próbowałem podnieść je do niezbyt zawrotnej sumy 70 groszy za godzinę. Okazało się jednak wtedy, że uczniowie albo chcą tworzyć spółki, by na jednego wypadało po 35 groszy za godzinę albo zmniejszają liczbę lekcyj w tygodniu albo w ogóle je przerywają.

Oczywiście byli i tacy, co mieli uczniów płacących po 3 zł. za godzinę, na ogół jednak lekcje były bardzo tanie, a dochody inteligentów z tego źródła mimo wszystko niewielkie. Nic dziwnego. Przede wszystkim trzeba zapłacić za ziemniaki, za chleb, węgiel, kapustę. A nawet na to nie starcza, gdy np. ze stu-złotowej pensji trzeba wyżywić 5-głową rodzinę. Nie kupuje się nowych ubrań, nie płaci się za mieszkanie (zjawisko wśród bezrobotnej inteligencji bardzo częste), mimo to nie wystarcza i trzeba sprzedawać resztki lepszej garderoby lub kosztowności, jeśli były.

Tak więc położenie ludności pod jarzmem niemieckim jest bardzo ciężkie i gdyby nie poczucie solidarności narodowej, gdyby nie te dobre, złote serca polskie, które się tak często spotyka, ludzie marliby z głodu całymi masami.

Stanisław Zatorski

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5-ym, "II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7-ym, "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją," druk. w nr. 8-ym "Polski Walczącej."

Ojcowie nasi i my

Przyjaciel mój, podchorąży broni pancernej, opowiadał mi niedawno następujące zdarzenie:

W marcu 1940 r., gdy pełnił służbę wojskową w południowej Francji, uzyskał tygodniowy urlop. Jako, że był zapalonym narciarzem, pojechał wraz z dwoma swymi kolegami w najbliższe góry—Pireneje. Koleją, samochodem a w końcu na nartach po zawalonej lawinami drodze dotarli głęboko w serce gór do miejscowości Barèges, skąd odbywali wycieczki do kotła górskiego Cirque Gavarnie.

Otóż, owo Barèges jest to marna wioska górska położona na uboczu, w wąskiej kotlinie, jednym słowem świat zabity deskami. Podobno prawie nikt z turystów tam się nie zjawia. W ogóle Francuzi raczej jeżdżą w Alpy, gdzie mają większy komfort.

Mieszkańcy Barèges z ciekawością oglądali mundury nieznanej im armii a dowiedziawszy się, że są to Polacy zaprowadzili ich do tzw. "*pierre des Polonais.*" Jest to spory głaz kształtu nieregularnej piramidy o trójkątnej podstawie. Na jednej ścianie tej piramidy wyryte są trzy imiona i nazwiska polskie (jedno z nich Tasnowski) i data rok 1833. Na drugiej ścianie znowu parę nazwisk polskich i data rok 1867. Napisy są bardzo niewyraźne, ale możliwe do całkowitego odcyfrowania.

Kto byli ci ludzie? Ludność miejscowa nie wie. Zostało tylko wspomnienie przekazywane z pokolenia na pokolenie, że byli to Polacy i stąd nazwa kamienia. Jeden z nich, ów właśnie Tasnowski, jak to stwierdził mój przyjaciel, umarł i został pochowany w Barèges. Z zapisków w księgach gminnych wynika, że umarł na gruźlicę. To wszystko.

Nie ulega chyba wątpliwości, że byli to albo powstańcy albo emigranci polityczni z 1830 i 1863 roku. Dlaczego jednak przybyli do Barèges i jedni z powstania listopadowego i drudzy styczniowego? Podobno Barèges dopiero w latach osiemdziesiątych stało się czymś w rodzaju wsi: przedtem miały tam być jedynie nieliczne domki kamienne wbudowane w stok górski z tak skonstruowanymi dachami by po nich swobodnie i bez szkody przelatywać mogły lawiny.

Przyjaciel mój kazał oczyścić napisy i wyryć na trzeciej stronie głazu nazwiska trzech podchorążych polskich i datę 1940 r.

Miejmy nadzieję, że czwarta strona już nie będzie nosiła napisów.

Jerzy Zajączkowski

POWSTAŃCY

Co dzień Deskur z panem Filochowskim
Wychodzili pod wieczór na miasto,
O tej porze ścicha Rynek lwowski,
Ścicha Ratusz, milkną lwy grzywiaste.

Z Rynku wolno szli do Bazylianów
I Wałami na Zamek Wysoki.
Tam przy kopcu siadłszy pod kasztanem,
Wzrok cieszyli szerokim widokiem.

Patrz! Już wieczór Winniki osmala,
Drżą pogody czerwonych zachodów
I świat leci gdzieś w strzępiaste dale,
Kiedy ziemia dymi mgłą od spodu.

Dobrze grzana czarnomorskim słońcem,
Zaprawiona trudami i troską,
Ziemia bujna, jesienna, godowa,
Tak pachnąca otawą—podolska!

Więc wpatrzeni w siność mgieł dalekich
Paśli serca wrześniową urodą.
Deskur mrużył pod szkłami powieki,
Filochowski gładził siwą brodę.

Było dobrze, spokojnie i błogo
Po Syberii, po więziennych sztolniach.
Lecz Pan Deskur tupnął nagle nogą:
Czy rozumiesz?—krzyknął—nie jest wolna!

"Czy rozumiesz?"—Echo poszło krzami,
Filochowski wstał—jakby się gniewał,
Wtem zachrzęścił nagle pod nogami
Liść upadły—pierwsze liście z drzewa.

"Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne,
Nad mogiłą śpiewa jakieś ptasze polne,
Nie było, nie było Polsko dobrze tobie,
Wszystko się prześniło—Twoje dzieci w grobie."

Gdzież to miasto?—uleciało w przestrzeń
Gdzież ta błogość?—w ziemię się zapadła. . . .
Łuna nagle zakryła powietrze
A powietrze echem strzałów gada.

Filochowski w kwadratowej czapie,
Z pistoletem w zaciśniętej dłoni
Drogą leśną w świeżym śniegu człapie
Za nim Deskur z Kubickim w sto koni. . . .

Pożar wielki—już go widać blisko,
Przy nim ludzie z pikami—Moskale!
Filochowski mocniej broń swą ściska
I znak daje, i sam pierwszy pali. . . .

"Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg,
Wnet z waszych strzelb piorunne zagrzmią strzały
Niech lotem kul kieruje Zbawca—Bóg!"

. . . .

Mrok się wlecze, mgły spływają łzami,
Po ogrodach dawno noc już ziewa.
Gdzieś na wieży targnął czas dzwonami,
Echo dzwonne zaszumiało w drzewach,

Dźwięczne słowo, wezwanie godzinne,
Wieść o nocy dla dumy wieczoru.
Deskur westchnął, wstał i rzekł: jest zimno
I powiedział jeszcze: do dom pora.

Światło błyska pośród drzew Zniesienia,
Księżyc wylazł z poza gór załomu.
Filochowski siedząc cicho w cieniu,
W ślad powtórzył: Tak! Już czas do domu. . . .

. . . .

Pierwszy umarł pan Deskur. Za trumną
Szła ich setka razem z Filochowskim.
Postać dziarska, wąs i miny dumne
Niechże patrzą—powstańcza brać polska.

Lecz za drugą trumienką po latach,
Szło ich tylko trzech i kobiet garstka.
Była wojna—śnieg płatami padał,
Huk dział słychać było z poza miasta.

A że w Polsce nawet zmarli w grobach
Ujść wojennej potrzebie nie mogą,
Obok trumny okrytej żałobą
Dwa granaty uderzyły w drogę.

Jakże piękny pogrzeb dla żołnierza
W dzień bitewny te salwy armatnie,
Znak wiecznego z wolnością przymierza,
Znak czuwania dla zmarłych ostatni.

. . . .

Umieramy ze starcami młodzi
Ze strzelecką na ustach piosenką,
Którą kiedyś ciemny las urodził
Liści padłych urodą i męką.

Bór wzrósł liściem i podniósł się wyżej.
Ileż razy spadły liście z drzewa.
Lecz trwa jedno wiecznie—polskie krzyże
Wiatr tych krzyżów nie zmiecie, nie zwiewa.

Na groby bracia, na groby,
Trawy już tną nad pierwszymi,
A kopią doby i doby
Grzebiąc i starce i młódź.
Nie zbraknie na groby ziemi.
Panie! U żywych wzbudź
Płonące serca nad niemi. . . .

Mieczysław Lisiewicz

Mechanicy lotnictwa

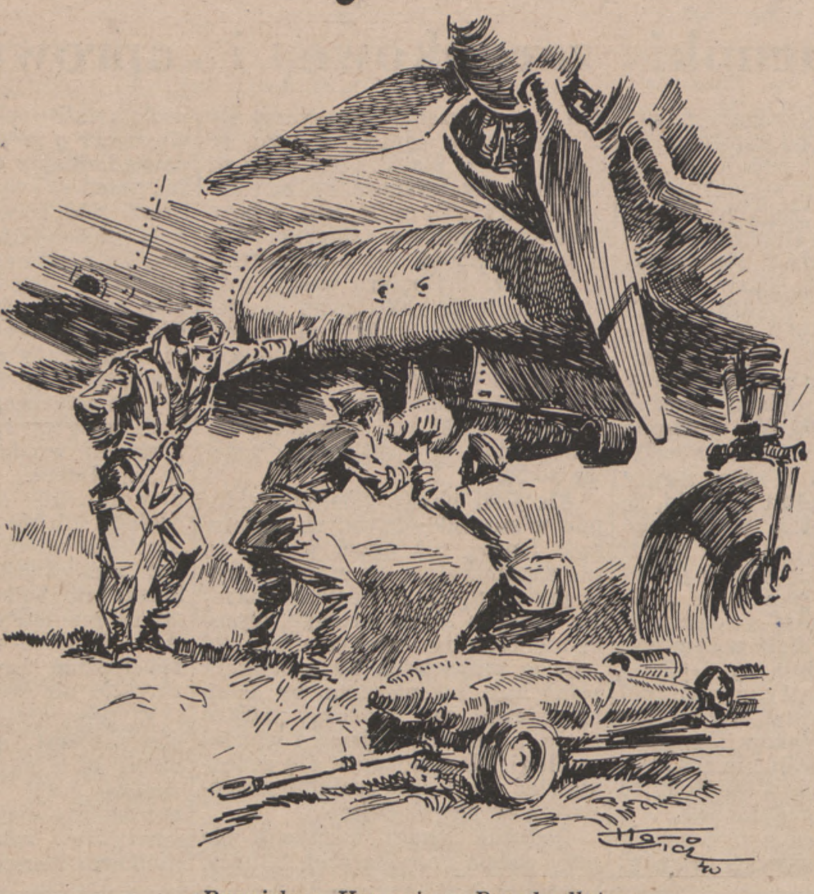
W lotnictwie obowiązuje głęboka solidarność, współdziałanie i współpraca bez wyjątku wszystkich noszących mundur lotniczy. Bez tych przymiotów żołnierzy lotnictwa—lotnictwo nie mogłoby wykonać swoich zadań. Rys solidarności, współdziałania, współpracy na podłożu szerokiego, dobrze zrozumianego koleżeństwa, przyjaźni nawet, powiedziałbym, przyjaźni czystej, bezinteresownej—widzimy w lotnictwie wszędzie w każdej specjalności, na każdym szczeblu, niemal na każdym miejscu i to w służbie i poza służbą.

Personel lotnictwa dzieli się z punktu widzenia pracy i walki na dwie wielkie grupy: personel latający i personel techniczny. Te grupy skolei dzielą się wewnątrz na szereg specjalności, których tu wymieniać nie będziemy. Personel latający walczy i wykonuje zadania w powietrzu. Personel techniczny przygotowuje wszystko w dziedzinie technicznej do walki i wykonania zadań w powietrzu.

Z tego podziału już z grubsza widzimy równorzędność i wagę obu tych dziedzin lotnictwa. Rzecz jasna, że personel latający ma przede wszystkim okazję do wykazania odwagi w walce i w wykonywaniu zadań bojowych w powietrzu, podczas gdy personel techniczny ma jedynie okazję do wykazania swej umiejętności i sumienności w pracy, nie mniej jednak odznacza się tymi samymi cechami, co i personel latający, więc męskością, odwagą i bohaterstwem.

Bohaterskie czyny personelu latającego są znane, to jest zupełnie naturalne—walczy. Znam jednak również szereg bohaterskich czynów mechaników, które chcę tu czytelnikom podać. Zapewne nie są to wszyskie, jest ich wiele, szczególnie w Polsce, podaję te, które znam.

Dnia 1 września 1939 r. Niemcy bombardują o godzinie 5 rano jedno z lotnisk w Polsce. Latają nisko, 20 mtr. nad ziemią. Grad bomb różnego kalibru sypie się na zabudowania i w całym obrębie lotniska. Lecą bomby na garaże pełne samochodów, na koszary kierowców, które są tuż obok. Zaskoczenie. Są zabici i ranni. Szoferzy starają się ratować samochody. Szczególnie jeden kapral pod gradem bomb dobiega do samochodu, zapuszcza silnik i wyprowadza samochód śród tego piekła. Ocalał on i samochód, jedynie popękały w samochodzie szyby.



Bronisław Horowicz: Przed odlotem

Dnia 11 maja 1940 r. na jednym z lotnisk we Francji jeden z szeregowców uzupełniał materiały pędne samolotów. Alarm. Niespodziewany nalot. Nie przerywa swej pracy, chcąc przygotować samolot do odlotu. Spadające bomby zastają go na posterunku —ginie jak żołnierz na polu walki, spełniając do końca swój obowiązek; przekazuje innym honor żołnierza Polaka.

Na jednym z lotnisk we Francji w dniu 16 i 17.V.1940 r. chorąży mechanik w czasie bombardowania lotniska uruchamiał silniki samolotów i w ten sposób umożliwił start pilotom, przyczyniając się nie tylko do uratowania drogocennego sprzętu, lecz również do rozpędzenia wyprawy bombowej, gdyż piloci po wystartowaniu rozpoczęli z nią walkę.

W dniu 24.V.1940 r. na innym lotnisku pracuje przy naprawie samolotu. Ogłoszony zostaje alarm. Chorąży swej pracy nie przerywa. Kończy naprawę przyrządu uruchamiającego silnik, pomaga pilotowi silnik uruchomić. Pilot, oficer francuski, wystartował. Chorąży znalazł się w środku gęsto spadających bomb. Sumienny i bohaterski mechanik został ranny i utracił jedną z rąk.

Dnia 2 czerwca 1940 r. o godz. 8 min. 45 był nalot na lotnisko we Francji. Starszy szeregowiec kierowca samochodowy pełnił służbę wartowniczą przy bramie głównej. Powierzonego mu posterunku nie opuścił. Został ranny odłamkiem bomby i zmarł, trzymając w ręku karabin.

Na tymże lotnisku tego samego dnia na innym posterunku pełnił służbę wartowniczą drugi starszy szeregowiec bez specjalności. Ten również samowolnie posterunku swego nie opuścił. Został zabity jak żołnierz na polu walki przez odłamki bomby, która spadła tuż obok niego.

Dnia 3 czerwca 1940 r. na lotnisku we Francji w czasie bombardowania lotniska sierżant mechanik zapuszczał silnik samolotu. Po zapuszczeniu silnika nie uciekł do rowu, lecz podbiegł do drugiego samolotu i zaczął uruchamiać jego silnik. Wybuch bliskiej bomby urwał mu rękę.

Rzut kołowy jednostki lotniczej w drodze na jedno z lotnisk w Belgii został zaatakowany przez bombowce niemieckie i obrzucony bombami. Kapral rusznikarz nie uciekał i nie krył się. Postąpił jak na lotnika przystało, wyciągnął z samochodu C.K.M. ustawił go na polu i otworzył ogień na nieprzyjacielskie samoloty. Celnymi strzałami zwalił jeden z bombowców H.111.

Na jednym z lotnisk angielskich mechanicy przeprowadzali uzgadnianie strzałów K.M. na samolocie. Alarm. Nalot. Bomby padają na lotnisko. Nikt z personelu technicznego, a był przytem porucznik inżynier, sierżant mechanik i plutonowy mechanik nie uciekał i nie krył się. Wszyscy ratowali samolot i pilota, który się w nim znajdował i sam uciec by nie zdążył.

Na innym lotnisku starszy szeregowiec w czasie bombardowania wytrwał na swym posterunku mechanika. W czasie gdy bomby wybuchały na lotnisku zapuszczał silnik samolotu, na którym pilot miał wznieść się na obronę lotniska. Swoją odwagą i zdecydowaną postawą żołnierza przyczynił się w dużej mierze do obrony lotniska. Mimo odniesionych ran stanowiska swego nie opuścił. Zmarł od ran.

Oto są przykłady ofiarnej pracy i bohaterstwa mechaników polskiego lotnictwa.

Zwycięstwa personelu latającego są jednocześnie zwycięstwami i personelu technicznego. W lotnictwie polskim rozumieją to wszyscy i dlatego panuje tam wielka harmonia myśli, uczuć, pracy i walki.

Półkozic

Z Bałtyku na szersze wody*

Ciężkie terminy nastały dla nas już od marca 1939 r. Naprężona sytuacja polityczna zmusiła nasze władze do postawienia Floty w gotowość bojową. Zdając sobie dobrze sprawę z potęgi lotnictwa niemieckiego i z roli jaką ono może odegrać w wojnie wiszącej na włosku, specjalną uwagę zwrócono na naszych okrętach na pogotowie przeciwlotnicze.

Cztery nasze kontrtorpedowce, stawiacz min, ORP "Gryf" i pięć okrętów podwodnych, stanowiące poza kanonierkami, traulerami i paroma jeszcze drobnoustrojami, całą naszą morską potęgę, wstąpiły na ścieżkę wojenną, każdej chwili oczekując wieści, że nadszedł czas egzaminu.

Dalekie i bliskie patrole, rzecz jasna w wyczerpującej wachcie bojowej, stały się naszym chlebem codziennym. Do portu prawie nie wchodziliśmy wcale, a podczas postojów na kotwicy na redzie, część załogi wychodząca na ląd musiała zadawalniać się dwugodzinnym zaledwie zwolnieniem. Czasami zdarzyło się zwolnienie na ląd na całą noc, ale i wówczas trzeba było zasypiać tylko na jedno oko, gdyż każdej chwili można było być odwołanym przez sprawnie działającą sieć alarmową.

Ten i ów sarkał nieco, ale mimo to nastrój na okrętach, jak zresztą w całej Polsce panował nadzwyczajny. Sześć prawie miesięcy takiej mordęgi dobrze się już nam dały we znaki. W międzyczasie w polityce rozpaliło się do białego. Wybuchu wojny oczekujemy z godziny na godzinę.

Wtem 28 sierpnia 1939 r. po południu, uzupełniwszy wszelkie potrzebne zapasy, odkotwiczamy i po minięciu Rozewia, bierzemy kurs na West. Wyszliśmy w trzy kontrtorpedowce, a mianowicie O.O.R.P. "Błyskawica," "Grom" i "Burza." Ja byłem zaokrętowany na pierwszym.

Dziwimy się dlaczego ORP "Wicher" nie wyszedł z nami oraz jesteśmy podekscytowani zachodnim kursem i pełną szybkością, jak również specjalną gotowością bojową. Cel naszego wyjścia jest trzymany w ścisłej tajemnicy, natomiast wśród załogi krąży pogłoska, że jakoby idziemy do Skagen, gdzie mamy spotkać Flotę Angielską i wrócić z nią na Bałtyk.

W nocy z dnia 28 na 29 sierpnia 1939 r. zdwajamy czujność i ładujemy działa. Podchodząc do Sundu —zauważamy sylwetki. Alarm bojowy podrywa na nogi całą załogę. . . . Jako celowniczy podniesieniowy trzymam na celu pierwszą sylwetkę czekając sygnału odpalenia. Rozchodzimy się jednak—jeszcze nie czas. Były to okręty wojenne niemieckie patrolujące w tej części Bałtyku.

W Skagerraku nie spotkaliśmy oczywiście Floty Angielskiej, natomiast Dowódca powiadomił załogę oficjalnie, że mamy rozkaz udać się do Anglii i wspólnie walczyć przeciwko Niemcom.



Kontrtorpedowiec "Błyskawica"

Trudno opisać nastrój jaki zapanował wśród załogi. Z jednej strony każdy z nas doskonale wiedział, że morze nie ma granic, i że okręty wroga można spotkać nawet na drugiej półkuli i skutecznie je tam zwalczać, jak to już historia niejednokrotnie wykazała. Dreszcz zadowolenia przechodził na myśl, że okręty naszej małej Floty będą współpracowały z najwspanialszą o największych morskich tradycjach Flotą Brytyjską.

Z drugiej strony smutek nas ogarniał na myśl, że opuściliśmy Gdynię i naszych kolegów na reszcie okrętów i nie będziemy mogli ramię przy ramieniu stawiać czoła w nierównej co prawda, ale o świętą sprawę walce z odwiecznym wrogiem. Świadomość jednak, że współdziałając z Flotą Wielkiej Brytanii więcej zdziałać potrafimy, niż będąc odosobnieni i osaczeni ze wszystkich stron na Bałtyku, uspokoiła nas całkowicie.

W Skagerraku zjawiły się dwa niemieckie samoloty i przez dzień cały krążyły, obserwując nas. To samo powtórzyło się dnia następnego.

Na Morzu Północnym dnia 1 września 1939 r. dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny. W dniu tym nie zjawiły się już samoloty niemieckie, przyleciały natomiast dwa samoloty angielskie i długo krążyły nad nami.

Gdy zbliżyliśmy się do brzegów angielskich, wyszedł na nasze spotkanie malutki półtorakominowy kontrtorpedowczyk angielski. W porównaniu do naszych pięknych sylwetek—wyglądał naprawdę bardzo mizernie, to też pod jego adresem wypowiedzieliśmy nie jedną uszczypliwą uwagę. Byliśmy zdania, że chyba nie będzie w stanie wyciągnąć nawet 15 węzłów. Wkrótce zmieniliśmy to zdanie, gdy po wymianie sygnałów zawrócił i szybkością zmuszającą nasze okręty do dodania obrotów, poprowadził nas do portu, a nabraliśmy dla niego prawdziwego respektu, gdy kilka dni później zobaczyliśmy go w akcji.

Jerzy Szulak

* Według opowiadania bosmanmata A.S.

Z kampanii francuskiej

Ostatnie patrole "Czarnej Brygady"

*(Wyjątek z dziennika bojowego)**

Kluczymy cały czas lasami. Z mglistego poranku powstaje piękny, słoneczny dzień.

Idę wolno w kolumnie. Przez ramię mam przewieszony chlebak, w którym się teraz znajduje mój cały majątek. W prawym ręku niosę karabin. Stale idziemy pod górę. Nieprzespana noc, pusty żołądek i ostatnie przejścia—nie wpływa to dobrze na formę fizyczną. Jestem zmęczony. Widzę to samo na wielu twarzach. Jednocześnie jednak na każdej z tych twarzy widzę ostro ściągnięte rysy wielkiego uporu i zacięcia.

Dowódca Brygady zarządza 10 minutowy odpoczynek. Siadają wszyscy—tam gdzie kto stał. Por. M., widząc jak ciężko siadam na jakimś pniaku, daje mi dwa kawałki cukru. Zjadam je, ale bez specjalnej wiary, żeby to miało mi pomóc. Coś sobie tam przypominam z chemii . . . cukier . . . węglowodany . . . organizm przyswaja bardzo szybko . . . dużo kalorii . . . ale teraz ma to małą siłę sugestywną.

Ruszamy dalej. Osiągnęliśmy grzbiet, teren opada do dołu, w wąską kotlinę. To schodzenie w dół męczy jeszcze bardziej, aniżeli marsz pod górę. Zjeżdża się niemal na własnym siedzeniu, łapiąc po drodze za każdy pniak i za każdą gałąź. Idziemy tą kotliną —potem znowu pod górę i na jakieś pole—szosa—przechodzimy przez nią i znowu do lasu. Zatrzymujemy się tuż przy szosie.

"Dowódcy pododdziałów na odprawę!" Stajemy w jednym szeregu przed Generałem. Dowódca Brygady rozkazuje zwiększenie czujności i ostrożności w czasie marszu, zwłaszcza przy przechodzeniu przez tereny odkryte i drogi. Pyta się o stan ludzi. Zwraca uwagę na utrzymanie nakazanych odległości między oddziałami. ". . . dookoła nas są oddziały niemieckie, będziemy się starali przejść między nimi. W każdej chwili musimy być przygotowani na każdą ewentualność . . . wymagam od wszystkich dowódców trzymania swoich oddziałów bardziej zwartych i przede wszystkim . . . głowy do góry—na was patrzą żołnierze!"—Po tych słowach prostuję się. Stałem jak zawsze lekko zgrabiony—ale sprawa jasna, tak trzeba! Generał ustala porządek marszu i w końcu . . . "to wszystko—dziękuję Panom." Podrywamy się na baczność, wtył zwrot i rozchodzimy się do oddziałów. Rozpoczynamy dalszy marsz. Oddziały maszerują w lesie, obserwatorzy tuż przy szosie.

W pewnej chwili na szosie słychać warkot motoru—z tyłu nadjeżdża motocykl. Ppłk. S. który idzie tuż przy szosie, wyjmuje pistolet, staje za drzewem i czeka. Widać wyraźnie wielki "baniak" na głowie kierowcy. Niemiec rozgląda się, coś zauważył, zwalnia . . . pada strzał! Pułkownik pociąga drugi raz za spust—nic—energiczny skurcz całej dłoni—nic—Psiakość! Zacięcie! Motocyklista odjechał pełnym gazem.

Przechodzimy wszyscy na lewą stronę szosy w nieduży zagajnik. Dochodzi godz. 12.00. Jesteśmy w rejonie St. Seine L'Abbaye. Szosa wzdłuż której idziemy, przecina się z główną szosą prowadzącą od zachodu na Dijon, do którego jest jakieś 20 km. Zatrzymujemy się na dłuższy odpoczynek tuż przed skrzyżowaniem obu dróg. Wystawiamy czujki obserwacyjne a reszta chowa się w zagajniku. Jedną i drugą szosą przejeżdżają kolumny niemieckie. Zwłaszcza tą na Dijon. Ruch ten nie ustaje ani na chwilę. Nasze czujki leżą o kilka kroków od szosy. W pewnej chwili Niemcom stanął jeden wóz zaczęli go reperować. Słychać było każde słowo ich rozmowy.

Leżę pod dużym krzakiem. Obok mjr. Z., ppor. F., Staś i kilku strzelców. Brak nam chleba, ale bez jedzenia jakoś można się obyć. Najgorzej z pragnieniem, ani kropli wody, ani kropli wina.

Maszeruje z nami kilku murzynów. Jeden z nich obiecuje podejść do wsi, która jest po tamtej stronie skrzyżowania i przynieść kilka manierek wody. Po 1/2 godzinie wraca i oświadcza, że we wsi jest pełno Niemców i że wody nie przyniósł.

Gdyby się udało przejść na drugą stronę tej głównej szosy, za nią jest wysoki las, a potem według mapy jakieś 4 km. marszu i kanał—woda! Leżymy tak wszyscy i nawet rozmawiać się nie chce, bo język w gębie zasycha.

Na maleńkiej polance zebrał się Sztab Brygady. Odprawa trwa dosyć długo. W tym czasie na szosie na Dijon słychać nieprzerwany szum motorów. Kolumna za kolumną.

O godz. 18-ej dowódca Brygady wobec absolutnego braku możliwości wyżywienia Brygady i wobec niemożności dalszego posuwania się tak dużą grupą—pobiera ciężką i smutną decyzję rozwiązania Brygady. Nie wiemy czy Francja jeszcze walczy, czy nie—Nie wiemy gdzie są i co się dzieje z polskimi dywizjami piechoty, ale za wszelką cenę musimy się stąd wydostać. Nie poddamy się do niewoli—nie chcemy wpaść w łapy niemieckie.

Jest 18 czerwiec—godzina 18.30. Słuchamy wszyscy spokojnie. Od chwili zniszczenia sprzętu zdajemy sobie dobrze sprawę, że taką dużą grupą i na piechotę daleko nie zajdziemy. Teraz wszyscy myślą tylko o jednym—nie dać się złapać!

Zbieram szwadron, mówię im jak wygląda sytuacja i jaką jest decyzja Dowódcy Brygady. Rozumieją sami zupełnie dobrze. Dzielimy się na grupki 5 do 8 osób. Każdej grupie rysuję osobiście szkic marszu. Daleko na południu naznaczamy sobie spotkanie w małym miasteczku. Daj Boże, żebyśmy wszyscy doszli. . . . Na każdym szkicu wypisuję po kolei wszystkie miejscowości na trasie marszu. Wiem, że te szkice będą jedynymi "mapami" każdej z małych grup, każdego patrolu.

W czasie tego podchodzi mjr. Z. i mówi, że ma karteczkę z rozkazem do płatnika, żeby ludziom wypłacił pieniądze. Niestety płatnika nie ma—gdzie jest, nie wiadomo! Na nasz szwadron miało przypaść około 20.000 fr. Myślę sobie, że gdyby kilku ludzi miało pieniądze między sobą, zawsze któryś ocaleje. Jestem zły, a w dodatku akurat sam mam niedużo pieniędzy. Pożyczam kilkaset franków i rozdaję każdej grupie. Nie dużo to wypada, ale zawsze będzie na papierosy i za chleb zapłacić—a to grunt.

Podchodzi do mnie w tym czasie szef szwadronu i mówi, czy nie było by dobrze, żeby skierować poszczególne grupki do rzeki Saony i potem płynąć rzeką aż do Lyonu, a potem nawet Rodanem dalej na południe. Projekt uważam za dobry, ale nie wiemy jak jest na tych rzekach? co z mostami? czy pilnowane?—i przede wszystkim wymaga to zboczenia z naszej trasy—czy warto?

W rezultacie postanawiamy, że każda grupa zadecyduje sama w zależności od warunków, w jakich się znajdzie. Obecnie trudno przewidzieć jak się wszystko ułoży.

Żegnam się z poszczególnymi grupami. Mocne, długie uściski dłoni, wszyscy całujemy się serdecznie. Wzajemne życzenia. Podchodzi Staś—chcę go zabrać ze sobą, ale on ma paczkę kolegów, którzy mieszkają w tym samym departamencie i tam chcą razem iść. Trudno zabrać wszystkich. Byłaby za duża grupa. Daję Stasiowi 50 fr. i żegnamy się. Wszystkie moje najlepsze życzenia idą z nim razem. "Czołem Stasiu!" "Czołem Panie Poruczniku! Pamiętaj! masz dojść, bo ja na twojej farmie chcę zjeść dobry obiad!" Przypomniałem mu, iż obiecywał mi, że jeśli kiedyś przyjadę do niego na farmę to będzie wspaniała kura na obiad. Jak sam mówił ". . . taka tłusta, że aż . . ." Na to wspomnienie rozpogodziła mu się trochę twarz—i coś tam dodał o Niemcach—kończyło się na ". . . syny" Roześmieliśmy się obaj—kochany chłopak! W takiej chwili. . . . Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie ręce i poszedłem żegnać się z resztą.

O godz. 19.30 odprawiłem wszystkich—drobne grupki rozchodziły się w różnych kierunkach, aby w różnych miejscach przeskoczyć przez szosę. Patrzę jak kolejno znikają w krzakach. Idą na długą i niepewną drogę. Na ostatni patrol.

W naszej grupie idzie też i . . . murzyn. Szedł przed tym przy nas, niema grosza przy duszy i prosi, żeby go zabrać. Bierzemy go—po prostu "na szczęście."

Zdecydowaliśmy się, że pójdziemy na końcu—więc mając jeszcze trochę czasu robimy ostatnie przygotowania.

Przeglądam wszystkie papiery część niszczę. Część zakopuję. Biorę tylko dziennik bojowy i ewidencję szwadronu. Do prawej kieszeni pistolet i pełno naboi—do lewej między innymi, naramiennik tego Niemca z Montbard. Gdybym wtedy nie trafił, pewnie nie było by mnie już tutaj. Przez chwilę myślę, poco ja właściwie to biorę, złapią i wiadomo. . . . Ale pokusa przeniesienia tego jest zbyt wielka—zabieram. Z chlebaka wyrzucam jeszcze trochę rzeczy. Jest teraz zupełnie lekki.

Robi się szary zmrok—na szosie ruch kolumn nie ustaje. Następuje narada naszej grupy. Jak przeskoczyć przez tę cholerną szosę i gdzie będziemy nocowali?

Decyzja jest prawie jednogłośna. Nigdzie nie nocujemy—będziemy maszerowali całą noc aż do świtu. Szosę przeskoczymy jak się da, w zasadzie wszyscy razem na dany znak.

Ostatnie spojrzenia dookoła po lesie. Pełno porozrzucanych najrozmaitszych rzeczy. Bielizna, buty, części umundurowania . . . prawie wszystko tu leży.

W ciągu kilku sekund przez głowę przebiega mi tysiące myśli — . . . Wrzesień 1939—Polska Brygada bije się pod Jordanowem, Naprawą, Łańcutem, Zboiskami. Niemcy mieli duże straty. Nazywali nas "Schwarze Brigade." Potem Węgry—obozy, ciężkie chwile bezczynności, i wreszcie . . . Francja! Brygada znowu się tworzy, odradza jak Feniks z popiołów. Kadra, prawie cała ta sama . . . i teraz znowu . . . Marna . . . Champaubert . . . Montbard . . . i tutaj. Tu, w tym niedużym zagajniku rozwiązuje się. Poszły ostatnie patrole—inne od wszystkich, ale wszyscy otrzymali ten sam cel, to samo zadanie. Każdy poniósł w swym sercu cząstkę tego, co stanowi Brygadę. Jeżeli gdziekolwiek i kiedykolwiek znowu się zejdziemy, będzie znowu Brygada. 10 Brygada Kawalerii Pancernej. Część naszych jest w ośrodku na południu—co się z nimi dzieje, nie wiemy. Część została w Arpajon pod Paryżem. Może też poszli przeciw Niemcom w tej ostatnie chwili Francji. Tak już nieraz było w naszej historii.

Przerywa mi to głos majora—"No, to idziemy!"

Podczołgujemy się dosłownie tuż pod szosę—jadą! znowu jakaś kolumna . . . koniec! . . . teraz jeden motocykl . . . drugi . . trzeci . . . już nie liczę, przejechało chyba ze dwadzieścia. Cisza . . . nie ma nikogo. Major daje umówiony znak—specjalny, cichy gwizd—skaczemy! Wszyscy biegną razem. Skok przez drugi rów i już!—prędzej w las i w krzaki. Trochę zwalniamy, ale nie stajemy, trzeba wejść głębiej w las. Za nami słychać szum motorów—pewnie nowa kolumna, ale już czujemy się bezpiecznie.

Chociaż biegliśmy niedługo, wszyscy dyszą ciężko. Nerwy!—nerwy napięte do ostatnich granic, bo teraz jesteśmy prawie bezbronni. To nie jest ani placówka, ani rozpoznanie. Jesteśmy tymi, na których w każdej chwili inni mogą rozpocząć polowanie, a jedyną naszą odpowiedzią, jeżeli nie chcemy zginąć, musi być ucieczka. Chcemy żyć . . . śmierć tutaj byłaby bez celu—na darmo! Zdajemy sobie dobrze z tego sprawę i to każe naszym nerwom grać na granicy wytrzymałości.

Idziemy na przód—przez gęste, ciernisté krzaki i dopiero po jakichś dwu godzinach, idąc cały czas lasem dochodzimy do toru małej kolejki, a potem do kanału —woda! Jestem spragniony w najwyższym stopniu. Nabieram pełną manierkę i wypijam prawie całą. Półtora litra—pooprostu nie mogę ugasić pragnienia.

Ka[illegible]il Bogumił [illegible]arnecki

*Por. dwa fragmenty p.t. "Brygada pod Montbard," drukowane w nr. 32 i 33 "Polski Walczącej" z minionego roku oraz: "Pancerniacy idą na piechotę," druk. w nr. 5 z bieżącego roku.

PO NUMERZE MORSKIM "POLSKI WALCZĄCEJ"

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej
51, New Cavendish Street,
London, W.1.
Dnia 13 lutego 1941 roku.

Pierwszy Generał do Zleceń Naczelnego Wodza,
Generał Brygady Dr. Modelski

Szanowny Panie Generale!

Wydawany przez podległe Panu Generałowi organa, tygodnik "Polska Walcząca" w dniu święta marynarki wojennej i 21. rocznicy objęcia wybrzeża przez Polskę — ukazał się jako numer morski, który treścią swą, objętością i bogatą formą, przewyższył pod tym względem wszelkie nawet w Polsce wydawane przy takich okazjach czasopisma.

Ten numer "Polski Walczącej," poza doskonałym spełnieniem swego zadania uczczenia marynarki wojennej i rocznicy objęcia wybrzeża—przyczynił się znakomicie do uświadomienia w sprawach morskich tych czytelników tego pisma, którzy się jeszcze marynarką wojenną nie interesowali i tymczasem oddał cenne usługi sprawie morskiej, a specjalnie marynarce wojennej.

Dlatego proszę Pana Generała o przyjęcie moich serdecznych podziękowań i wyrażenie ich również podległym Panu Generałowi organom.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej,
Świrski, wice- admirał.

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej
51, New Cavendish Street,
London, W.1.
Dnia 13 lutego 1941 roku.

Redaktor Naczelny "Polski Walczącej,"
Ppor. Dr. Tymon Terlecki.

Dziękuję bardzo Panu Porucznikowi za doskonały numer morski "Polski Walczącej" z dnia 10. lutego 1941 i za serdeczne słowa, które Pan Porucznik od siebie w numerze tym o marynarce umieścił.

Załączam odpis mego listu do p. Gen. Modelskiego.

Łączę wyrazy uszanowania.

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej.
Świrski, wice-admirał.

"Channel Islands"



"Channel Islands" — "wyspy na kanale," jest to grupa około stu wysepek niedaleko wybrzeży Francji, na pograniczu Normandii i Bretanii, z których dwie największe są Jersey i Guernesey (używam transkrypcji angielskiej). Zajęte są one obecnie przez Niemców. Można więc mówić, że część terytorium brytyjskiego znajduje się obecnie pod okupacją nieprzyjacielską.

Dzieje tych wysp i ich ustrój są typowym przykładem zachowawczości angielskiej. Anglia otrzymała je jako posag Wilhelma Zdobywcy—jest to jedyna część Księstwa Normandii, która się przy Anglii utrzymała. Choć wyspy należą do korony angielskiej od 1066 r.—ich językiem urzędowym jest nadal język francuski. Ludność—około stu tysięcy—jest zanglicyzowana i częściowo protestancka, lecz nazwy ulic, wiosek etc. są francuskie. Nazwy władz są francuskie i cały ustrój pozostał średniowieczny.

Wyspy są związane z Anglią wspólnym monarchą, który jest reprezentowany przez gubernatora wojskowego: prócz wojskowych, nie ma on jednak żadnych innych atrybucyj, jest postacią reprezentacyjną. Odrębny stosunek wysp do Korony uzewnętrznia się m.i. tym, że podczas, gdy w Anglii każdy bankiet kończy się toastem na cześć króla—"*Gentlemen, the King*"—to na wyspach toast wznosi się na cześć: "Króla, naszego Księcia"—"*The King, our Duke.*" Jest to echo czasów, gdy król angielski panował na wyspach, jako książę Normandii. Również na pensach wysp podobizna króla jest odmienna, niż na angielskich—nie profil tylko, jak w Anglii, lecz cała głowa królewska w stroju koronacyjnym.

Wyspy dotąd nie uznają demokracji. Nie są reprezentowane w Westminsterze, lecz posiadają swój własny niby—parlament zwany "*les états*"—sejmujące stany. Prawo głosu mają wyłącznie właściciele ziem lub domów. Nieliczne to grono wybiera rządców wyspy. Na czele ich stoi *bailiff*, wybierany przez ludność, dożywotnio, ma on do pomocy trzech członków gabinetu, też dożywotnio wybranych. *Bailiff*, i jego ministrowie należą z urzędu do sejmujących stanów, w których skład wchodzą również proboszczowie dwunastu parafij, na które wyspy są podzielone i których oczywiście nikt nie wybiera—są oni mianowani przez władze duchowne. Poza tym do stanów należą t.zw. "*centenniers*" (od francuskiego *cent*—sto), którzy są wybierani, znowuż dożywotnio przez każdą setkę obywateli, uprawnionych do głosowania. Wreszcie tylko t.zw. "*vingtenniers*" (od *vingt*—dwudziestu) są wybierani na trzy lata i ci tylko mogą być w pewnym stopniu uważani za posłów w naszym współczesnym znaczeniu słowa. Stanowią oni jednak zaledwie jedną trzecią sejmiku, dwie trzecie stanowią członkowie dożywotni—a że wyspiarze są bardzo długowieczni, przeciętna wieku archontów tego kraiku wynosi około osiemdziesiątki. I tak, od wieków, rządzą się te wyspy, rząd angielski nigdy nie próbował się mieszać do ich spraw.

Przywileje wyspiarzy nie ograniczają się do starodawnych form ustrojowych. Zachowali oni całe prawodawstwo średniowieczne. Sprawiedliwość nad okolicznymi "poddanymi" wykonywują nadal właściciele "*manorów,*" czyli zamków, którym przysługuje nadal w stosunku do "poddanych" *ius primae noctis* czyli prawo pierwszej nocy poślubnej,—co prawda w praktyce w ostatnich czasach prawo to nie było wykonywane.

Co ważniejsze, mieszkańcy wysp nie płacą podatków angielskich, tylko te, które sami sobie uchwalają. To też ostatnio, gdy podatek dochodowy w Anglii wynosił 7 shillingów od funta, na wyspach dochodził on zaledwie 9 pensów, czyli 10% stawki angielskiej: nic też dziwnego, że połowa milionerów angielskich tak się urządzała, by posiadać domicyl na wyspach i tam płacić podatki. Było to grubym nadużyciem, lecz Anglicy patrzyli na to przez palce. W rezultacie procent milionerów na wyspach był najwyższy na świecie.

Zresztą, w ogóle był to kraik niezwykle zamożny i bogaty. Wyspiarze nie tylko nie płacili podatków, ale również nie mieli ceł. Była to ostatnia oaza wolnego handlu w Europie—dzięki temu życie na wyspach było wyjątkowo tanie i dostatnie, żyło się za bezcen, od ostryg do samochodów wszystko można tam było nabyć za pół ceny paryskiej czy londyńskiej.

Ludność zajmowała się głównie rolnictwem—a raczej warzywnictwem, kartofle i pomidory sprzedawała drogo do Londynu. Ponadto mieszkało tam sporo rentierów, rozkoszujących się ciepłym francuskim klimatem, piękną bardzo przyrodą i niepłaceniem podatków.

Dlaczego Anglicy tolerowali te niesłychane przywileje, taki raj na ziemi tuż pod swoim nosem, który, trzeba przyznać, drogo Anglię kosztował choćby w podatku dochodowym? Odpowiedź jest prosta. Poza konserwatyzmem działał tutaj instynkt polityczny Anglików. Geograficznie i historycznie wyspy należą do Francji. Ludność jest przeważnie francuska. Gdyby nie było tych przywilei, dążność wysp do przyłączenia się do Francji stałaby się zapewne tak silna, że nie było by sposobu oparcia się tej irredencie. Dzięki angielskiemu liberalizmowi, irredenty nie było wcale. Nikt na wyspach nie chciał rezygnować z tak szczęśliwych warunków bytu. I w ciągu tysiąca lat nie odezwał się ani jeden głos za niepodległością czy "powrotem do macierzy."

Dzisiaj, na tych wyspach szczęśliwych, siedzą pruscy okupanci. Połowa ludności została, połowa uciekła do Anglii, gdzie stanowią jedynych, jak dotąd, angielskich uchodźców, tak licznych w innych krajach. Niemcy obrabowują wyspy, zamieniają je na bazy morskie i lotnicze. Listy dochodzą tam via Nowy York i Lizbona. Wyspiarze czekają na oswobodzenie, niczym Polacy i Czesi.

Oczywiście wyspy po wojnie powrócą do Anglii. Czy jednak odbudują swe przywileje, swą starodawną tradycję? Czy też, jak wiele innych tak pięknych, czcigodnych i miłych zabytków średniowiecza zostaną zmiecone obecną burzą dziejową?

Krzysztof Morawski

Wojna na morzu

Na groźbę "interwencji" japońskiej zarówno Imperium Brytyjskie jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej odpowiedziały energicznymi posunięciami, które chyba nie pozostawiają Japończykom i Niemcom złudzeń jak będzie wyglądała sytuacja na Pacyfiku. Poważne siły Dominium australijskiego wylądowały w Singapore na półwyspie malajskim. Są to najlepiej wyekwipowane i najnowocześniej uzbrojone dywizje australijskie, zupełnie świeże i złożone ze znakomitego materiału ludzkiego, który swą wartość wykazał na polach bitew Libii.

Jednocześnie eskadry morskie Pacyfiku Wielkiej Brytanji zostały znacznie wzmocnione, a floty: holenderska (Indji Holenderskich) i australijska łącznie z brytyjska flotą Pacyfiku stanowią siłę poważną. Tym bardziej, że drugi, potężny partner również nie "zasypia gruszek w popiele."

Garnizony wysp Filipińskich, które to wyspy obok brytyjskiego Singapore tworzą potężną zaporę pomiędzy Północą i Południem zostały zasilone poważnie i jak obliczają gazety północno-amerykańskie w silnych fortach Corregidor (*Fort Mills*—największe umocnienia na świecie), grupy wysp północnych Filipin (Luzon), centralnych (Visayan) i południowych (Mindanao), obecnie znajduje się około 100.000 żołnierzy filipińskich ("*natives*") i 10.000 białych. Również i baza morska, oraz forty na zachodzie od Filipin leżącej wyspy Guam, są nielada orzechem do zgryzienia.

Flota Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku została natychmiast wzmocniona przez dodatkowe okręty które śpiesznie przepłynęły Kanał Panamski. To wspaniałe dzieło inżynierii, ostatnio ulepszane i dostosowane do szybkiego przepuszczania wielkich okrętów wojennych jest niemałym wzmocnieniem sił morskich Stanów Zjednoczonych, które w stosunkowe krótkim czasie mogą przerzucać swoją flotę z Atlantyku na Pacyfik i odwrotnie.

Ciekawe jest zestawienie tonnażu wojennego flot Stanów Zjednoczonych i Japonii. Jak więc wiadomo z ogłoszonych publikacji oficjalnych tonnaż "czynny" obecnie wynosi:

	U.S.A. tonn.	Japonia tonn.
Okręty liniowe ...	385.000	302.000
Krążowniki .	332.000	283.000
Lotniskowce .	120.000	140.000
Kontrtorpedowce	273.000	155.000
Okręty podwodne	92.000	82.000

Szczegóły budowy nowych okrętów zostały ogłoszone przez Stany Zjednoczone. Japonia natomiast przeważnie zachowuje milczenie w tej sprawie i danych oficjalnych brak. Według jednak wiadomości prasy północnoamerykańskiej ,potwierdzonych niejako przez artykuł w niemieckiej "Hamburger Zeitung," stosunek budowanych okrętów Stanów Zjednoczonych i Japonii wygląda jak następuje. Są w budowie lub na wykończeniu:

	U.S.A. ilość okrętów.	Japonia ilość okrętów.
Okręty liniowe ...	16	5
Krążowniki	55	9
Lotniskowce	12	2
Kontrtorpedowce .	202	—
Okręty podwodne	70	—

Jak z tego zestawienia widać Stany Zjednoczone już obecnie mają przewagę, która po wykończeniu pancerników "Washington," "North Carolina," "Indiana," "Massachusetts," "Dakota" i "Alabama" stanie się "znaczna" (każdy z tych okrętów po 45.000 tonn). W tym samym czasie Japonia powinna wykończyć 5 pancerników po 40.000 tonn każdy. Nie należy też zapominać, że Japończycy bynajmniej nie są tak znakomici przy zdobywaniu umocnień nabrzeżnych, jak to pokutuje w legendzie od czasów Port Artura. W wojnie 1914-1918 Japończycy zdobywali zupełnie odosobnioną bazę niemiecką Tsing-Tao przy pomocy brytyjskiej przez dwa miesiące. Obrona baz brytyjskich Hong-Kong i Singapore oraz baz amerykańskich Guam i Filipin, stanowiących razem "Gibraltar Pacyfiku na wielką skalę" jest bez porównania silniejsza, umocnienia potężniejsze i . . . nie są one izolowane.

Wszystko więc wskazuje na to, że pomimo wielkiego zamieszania, gróźb, posunięć wojskowych (Japończycy wysyłają co raz więcej sił lądowych do . . . Francuskich Indo-Chin) Państwo Wschodzącego Słońca ograniczy się do demonstracji, co już samo przez się, zmuszając Wielką Brytanię i Stany Ziednoczone do "energicznych kroków" jest dywersją na rzecz Hitlera.

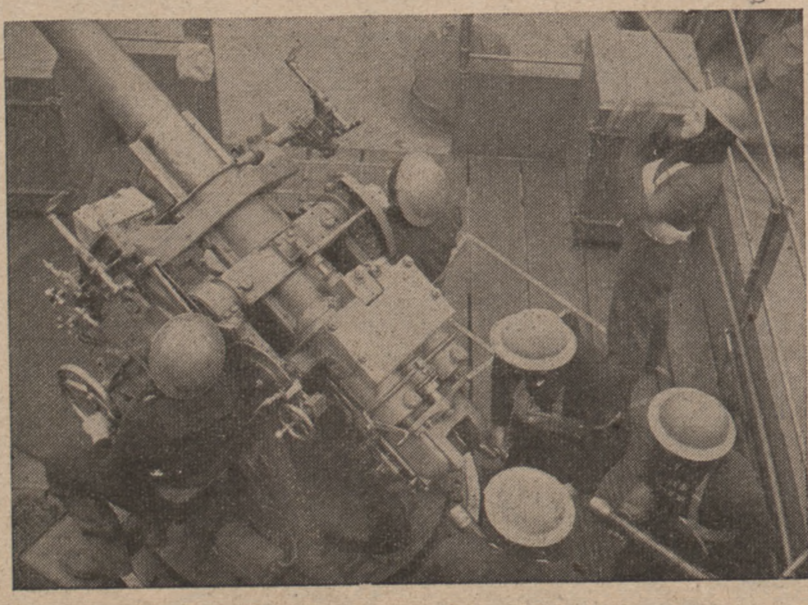
Nie mniej jednak powinno się być przygotowanym na wszystko. Pacyfik niedługo już może rozbrzmiewać hukiem dział ciężkiego kalibru i . . . takie wyjaśnienie sytuacji może być dla nas raczej korzystne, niż niekorzystne. Wstąpienie bowiem Stanów Zjednoczonych do "krwawej gry" dla sprzymierzonych będzie z korzyścią pod warunkiem . . . aby walka na Pacyfiku nie była sztucznie (przez względy t.zw. dyplomatyczne) oddzielana od zmagań na Atlantyku.

Tymczasem "ocean wewnętrzny białej cywilizacji," jak nazywa Atlantyk pisarz Francuski Maurois, jest terenem nieustannej walki korsarskiej w ostatnich czasach z . . obu stron. Brytyjczycy bowiem zatopili kilka statków transportowych włoskich na Morzu Śródziemnym, parę statków niemieckich przy brzegach norweskich i parę statków na Morzu Północnym, łącznie około 20.000 tonn. W tym czasie Niemcy zatopili 29.809 tonn z czego sprzymierzonych 10.447 tonn i brytyjskich statków 19.356 tonn. Niemcy używają do służy również krażowników raidowców i krążowników pomocniczych.

Okręt, który zaatakował wielki konwój brytyjski około Madery był właśnie takim krążownikiem pomocniczym, a nie jak myślano pierwotnie okrętem wojennym (wymienano nawet . . . Scharnhorst!). Okręt ten (zwyczajny statek pasażerski uzbrojony) wślizgnął się do konwoju z . . . banderą brytyjską, powiewającą na rufie. Tym podstępem zmylone statki konwoju nie zwracały na intruza uwagi i płynęły razem z nim około cztery godziny, gdy nagle otworzył on ogień we wszystkie strony, zatapiając sześć statków. Pomimo, że statki konwoju zachowały się bardzo dzielnie próbując otoczyć napastnika i strzelając do niego ze wszystkich posiadanych dział, dzięki dużej szybkości zdołał on umknąć. Jak przypuszczają fachowcy był to duński statek pasażerski, zarekwirowany przez Niemców, firmy "Glen"—s/s "Glengarry," który może rozwijać szybkość ponad 16 węzłów. Możliwe jest jednak, że był to statek niemiecki klasy "Altmark," gdyż szybkość napastnika była większa niż . . . 19, 20 węzłów. W każdym razie jest to czyn, który dowodzi, że "genjalni piraci," jak sami o sobie piszą Niemcy zdolni są do wszystkiego. . .

Teraz dopiero wiadomo z całą pewnością ile kontrtorpedowców stracili Niemcy w bitwie morskiej w Narviku 10 miesięcy temu. Otóż zatonęło wówczas 11 niemieckich kontrtorpedowców. W tym czasie ogłaszano wprawdzie, że zginęło tylko 9 kontrtorpedowców, lecz obecnie wyjaśniło się, że zatonęły tam jeszcze 2 kontrtorpedowce (1.625 tonn każdy) "Bruno Heinemann" i "Georg Thiele."

Bitwa ta widocznie żywo tkwi w pamięci niemieckich kierowników morskich sił zbrojnych, gdyż od tego czasu okręty niemieckie ani razu nie przyjęły otwartej walki na morzu. Admirał Roeder w zeszłym tygodniu spotkał się z włoskim szefem Marynarki Wojennej w "celu łącznej działalności flot włoskiej i niemieckiej i ostatecznego zniszczenia brytyjskich sił morskich," jak brzmi bombastyczny komunikat niemiecko-włoski o tym spotkaniu. Gdyby to nie było bardzo smutne było by bardzo śmieszne!



Artyleria przeciwlotnicza na jednym z polskich okrętów

Bohdan Pawłowicz

Z życia obozów

Prace i wywczasy artylerzystów

Zakładamy zaporę ogniową

Z punktu obserwacyjnego meldowano nam, że w odległości 5—6 km. przed nami nieprzyjacielska piechota koncentruje się do natarcia. . . . W odpowiednim czasie na drodze jej ataku mamy położyć zaporę ogniową. Wstrzelaliśmy się zanotowawszy dane celu i czekamy na właściwą chwilę, by trzepnąć wroga między oczy lawiną żelaza. Na razie mamy pełne ręce innych strzelań, wciąż jednak nastawieni jesteśmy na krótki rozkaz: "wykonać ogień zaporowy na cel Nr. 1."

—Pamiętajcie — przypomina oficer ogniowy, nie bardzo pewny nowo skompletowanych obsług—musicie w granicach jednej minuty oddać po ośm strzałów. Korba dwa obroty, po czwartym strzale skok w tył o 100 mtr. i kośba zpowrotem, na końcu musicie wrócić na kierunek pierwszego strzału, tylko z celownikiem o 100 krótszym, Żebyście mi czego nie poplątali!

Te ośm strzałów na minutę w obecnym naszym składzie obsług wydaje się nam czymś o wiele przekraczającym nasze możliwości. . . .

Już od półgodziny, w czasie innych strzelań, liczę w kółko przygotowane pociski: 1, . . . 3, 6, 7, 8—aby tylko zawsze mieć pod ręką cały komplet, potrzebny na jedną minutę. U sąsiadów—widzę leżą odłożone na bok po ośm pocisków z wkręconymi już zapalnikami.

Moi wręczyciele wazelinują automatycznie pociski, ja machinalnie biorę je pomiędzy kolana i ruchem zupełnie zmechanizowanym wkręcam zapalniki, ale wszyscy trzej całą uwagę kierujemy ku telefonowi bateryjnemu, który ma przynieść rozkaz o ogniu zaporowym. Czujemy się jak wyścigowcy po dłuższej przerwie—na starcie pierwszego wielkiego biegu. Nic dziwnego—miała to być w nowym składzie obsług nasza "premiera" ognia zaporowego. Wielkie słowo!

Nasz celowniczy w wolnych chwilach ostrzega zamkowego:—

—Ale pamiętaj, żebyś odpalał dopiero na komendę, kiedy już odskoczę od kątomierza, bo mi jeszcze w zapale głowę rozwalisz odrzutem działa!—Zamkowy jest naturalnie do żywego dotknięty przypuszczeniem, że może zrobić coś tak niewłaściwego. . . .

. . . Nagle przyszedł rozkaz, który miał rzucić na wroga lawinę naszego ognia, wyzwolić niszczące siły dziesiątków naszych pocisków.

—Pierwszy—melduję, po wręczeniu pocisku ładowniczemu, a odpowiada mi grzmot czterech równocześnie oddanych strzałów. I jak echo tych strzałów słyszę wściekły krzyk naszego celowniczego. Naturalnie pierwszy strzał padł nieco zawcześnie, zanim on zdążył cofnąć się od kątomierza i działo, które warknąwszy na wroga skoczyło porządnie do tyłu solidnie trzepnęło go tarczą w hełm. . . .

—Drugi—melduję pocisk.

—Stary! dwa obroty pokrętłem! przypomina działonowy i celowniczy prędko uzupełnia ruch "kośby," o którym pod wrażeniem otrzymanego ciosu w kask—o mało nie zapomniał.

—Gotowe! Pal!

Huknęliśmy prawie równocześnie z resztą baterii.

—Trzeci—podaję głośno liczbę wręczanych pocisków. Czwarty.

Grzmot jest nieustający. Dym ściele się przed działami po ściernisku, jak mgła poranna. Działa skaczą w odrzucie i ledwie oddadzą łuskę wraz z lekkim dymkiem strzału—ostatnim tchnieniem z otwartego na mgnienie oka zamku—już przyjmuje nową porcję stali. Błyskawiczne zatrzaśnięcie zamku, celowniczy kończy poprawkę kierunku, zamkowy już chwyta za gruszkę "pociągla," odskok—nowy strzał.

I znowu wręczam pocisk, melduję—siódmy—nowy granat.

Pracujemy w tempie automatów. W pewnej chwili uświadamiam sobie, że właściwie zupełnie nie reaguję na huk strzałów dalszych dział i przeraźliwy jazgot naszego działa. Że wszystka moja uwaga tak jest skupiona na szybkości i dokładności wykonania jakże drobniutkiej roli w maszynie wojennej, iż wszelkie inne zjawiska mijają mnie, nie zostawiając śladu w świadomości. . . .

Podnieść pocisk, wyciągnąć na prawej ręce w kierunku ładowniczego, podtrzymując lewą ręką pod "zgrubieniem środkującym," zameldować: "siódmy" i już sięgać po następny—oto do czego sprowadza się rola człowieka, który ma to szczęście, że danym mu jest jeszcze walczyć przeciwko germańskiemu barbarzyństwu.

Oddaję ostatni pocisk, odskakuję do tyłu, wołam: "ósmy," ostatni!—poczym słyszę jeszcze dwa grzmoty—aha—to nie my ostatni kończymy tę serię!

—Czterdzieści pięć sekund!—woła dowódca plutonu.

A po chwili telefon przynosi z punktu obserwacyjnego wiadomość, że nasz ogień spadł błyskawicznie, celnie, miażdżąco. . . .

—Gdyby naprawdę nacierała tam piechota nieprzyjacielska (bo strzelaliśmy na poligonie) musiałaby się załamać pod tym ogniem—słyszę za sobą uwagę któregoś z oficerów. . . .

Ogień zaporowy zakończył tygodniowy poligon, podczas którego nasza druga bateria odniosła ładne sukcesy. Ostatnim liściem do wieńca naszej poligonowej chwały, było omówienie strzelania przez Inspektora Polskiej Artylerii w Szkocji.

—Obserwowałem z wielkim zadowoleniem waszą robotę—powiedział do naszej baterii.—Jestem starym, doświadczonym artylerzystą. I muszę wam powiedzieć—daj mi Boże, żeby wszystkie polskie baterie strzelały tak, jak ta wasza. . . .

"Last meeting at the canteen"

Jutro opuszczamy poligon. Na ostatni wieczór, tak jak i dni poprzednich—przygarnia nas gościnnie świetlica wypełniona do ostatnich granic pojemności. . . . Odnajdujemy się tu w tłoku—towarzysze wielu szlaków i walk—dziś przez los przemieszani po różnych oddziałach. A gdy się spotkamy, mamy o czym gwarzyć, choćby i do rana.

Snują się więc opowieści o zaśnieżonych karpackich przełęczach, o obozach w Rumunii i na Węgrzech, gdzie czujne straże liczyły i—choć zawsze się doliczyły—nigdy dopilnować nie potrafiły tych "Polonezów" i "Lenglejów," którym się tak śpieszyło dorwać się do niemieckiej skóry. O przyjęciu w Modanie, Marsylii czy Camp de Carpiagne, które dla każdego z nas było kubłem zimnej wody i przedsmakiem tego wszystkiego, cośmy potym przeżywali we Francji. O stajniach i oborach Bressuire, gdzie się spało na zimnie i gnoju. O śmiertelnej nudzie "koczkodańskich" baraków i "grenier" La Ferrier lub Beguion. O "Chateau Movivaux" gdzie było twardo, ale—dobrze. O Angan, gdzie niestety jedyną interesującą kobietą była naga dziewica z wspaniałym realizmem rysunku i kolorytu wymalowana przez dekoratora na ścianie świetlicy. O Le Cannee, gdzie było tak samo trudno . . . wytrzymać, jak—zdobyć wodę do mycia się. I o wszystkich innych "miejscach postoju" artylerii polskiej, które aż do śmierci będą naszym smakiem Francji.

—A co się stało z siedmioma hrabiankami z Les Forges?—pada przy którymś stoliku pytanie bardzo konkretne.

Nikt nie wie. Wiadomo tylko, że płakały.

Nie wiadomo też, co się stało z wielu, wielu kolegami. I to nie tylko z tymi, co poszli z 1 lub 2 dywizją. . . .

Tymczasem na scenie, gdzie urzęduje bufet ruch co raz większy. Niezmordowane Szkotki—one nigdy nie żałują sił ani uśmiechów, by nam choć trochę umilić czas, wydają niezliczone "*cups of tea*" po pół pena, czekoladę za "*twopence,*" jakieś keksy, no i papierosy. A do wszystkiego dodatek nadzwyczajny — "*Kindly smile,*" którego niejednemu najbardziej brak. . . .

Przy pianinie ktoś uderza w polskie tony. Gromadzi się improwizowany chór. A po chwili śpiewa cała sala. Zrazu rzewnie i—narodowo. Naturalnie—"Góralu" i "Za Niemen." Ale potym od uchą do ucha rozśpiewała się sala po żołniersku, ochoczo, piosenką marszową, żwawym oberkiem, mazurem skocznym, rzewnym kujawiakiem.

I nagle nasz pianista zrobił zgrabną woltę w kierunku naszych gospodyń.

—*Scottish reel*!!!

Aż zapiszczały nasze Szkotki z uciechy. I już na scenie, przy akompaniamencie całej sali pląsają po szkocku cztery dziewoje,—dla zachowania lokalnego kolorytu—dwie rude. Nóżką podrygują, rączką wymachują, pokrzykują sobie góralskim sposobem.

Tak się zaczął taniec. . . . Niech się nie marszczą surowo brwi wysokich generałów i pułkowników, którzy wydali—jakże słuszny—zakaz tańczenia w lokalach publicznych, ale po szkockim "zbójnickim" zagrano międzynarodowego—walca. Jeśli już inaczej nie można tego usprawiedliwić—niech będzie, że trzeba było zrobić przyjemność paniom. Należało się napewno. Panom też. . . .

Zgiełk i rwetes niewiarogodny, Taniec jest kotłowaniną masy zbitej, stłoczonej do ostateczności. Taniec jest z reguły—na odbijanego. Ręka kolegi łagodnie położona na ramieniu wyrywa cię bezapelacyjnie z objęć najbardziej nawet uroczej, rudej piękności. Trzeba przyznać, że chłopcy "trzymają fason." Starsza i tęższa "mama kantyny," tańcząca zresztą jak na swój wiek i tuszę—nie bez gracji, zmienia tancerzy równie często, jak jej młodsze towarzyszki samarytańskiej służby.

Dużo śmiechu. Nie trudno o niego tam, gdzie na każdym kroku wynikają najzabawniejsze nieporozumienia językowe. I dużo werwy z naszej strony, a z ich wyrozumiałości nie nadużywanej zresztą, gdyż trzymamy się w granicach nakreślonych przez galanterię.

Młodość na chwilę zapomina o troskach swego twardego losu. Nastrój udziela się nawet tym, co za pół godziny pod celtą namiotu pójdą z powrotem w szpony myśli czarnych jak ta noc, która nieprzeniknionym "black-outem" otula cały świat poza tą kantyną—rozedrganą chwilką zapomnienia.

Wtłoczony w kąt, deptany po nogach piszę na kolanach ten ostatni "raport" z poligonu, który ożywił nas bardzo, dał nam bowiem smak i zapowiedź prawdziwej żołnierskiej roboty. . . .

. . . Właśnie w tej chwili sala rozbrzmiewa polską piosenką na szkocką melodję:

"Naprzód, raz a śmiało" . . .

Big George

Z PIEŚNI POŚWIĘCONYCH "CZARNEJ BRYGADZIE"

PIEŚŃ "CZARNEJ BRYGADY"

Hej, dał nam Wódz Naczelny
ten naramiennik czarny!
Kto z nami—Polak dzielny,
kto z nami—żołnierz karny.

Hen, w Polsce, dniem i nocą
nie bacząc, że krew bryźnie,
walczyliśmy z przemocą,
by służbę nieść Ojczyźnie.

Za Maczkiem brygadierem
przebyliśmy Karpaty,
szedł żołnierz z oficerem
na dalsze boje w światy.

I czarna znów brygada,
choć garść jej była mała,
pruskiego tłukła gada,
gdy Francja się poddała.

A teraz w dwuszeregu,
z żołnierskim sercem szczerem,
bronimy Szkocji brzegu
pod naszym brygadierem.

I walczyć pod Warszawę
huf wróci nasz ofiarny—
za Polskę i za sławę,
za naramiennik czarny!

PIEŚŃ 10 PUŁKU STRZELCÓW KONNYCH

Z zielenią żółty mamy znak,
a strzelec konny—to jak ptak:
kiedy mu trąbki zabrzmi ton,
do boju pręży ostry szpon.
Hej, trąbko, trąb! motorze, grzmij!
W poświście bomb we wroga bij!

Krwią konnych strzelców nasiąkł piach
w listopadowych sławnych dniach.
Strzeleckie słysząc "cel-pal-tuj,"
uchodził z walk moskiewski zbój.

Hej, trąbko, trąb! motorze, grzmij!
W poświście bomb we wroga bij!

Wiódł konny strzelec, niby pan,
piechotę swą w bojowy tan.
Dziś kryje hełm strzelecką skroń
i motor grzmi, żelazny koń.

Hej, trąbko, trąb! motorze, grzmij!
W poświście bomb we wroga bij!
Hej, strzelcy konni! W górę znak!

Wyżłobim sławie nowy szlak!
Strzelecka trąbko, sygnał dasz—
w bój pójdzie pułk dziesiąty nasz!

Hej, trąbko, trąb! motorze, grzmij!
W poświście bomb we wroga bij!

PIEŚŃ 24 PUŁKU UŁANÓW

Poleciały przepiórzyce
nad lubelską okolicę,
lecą wzdłuż i wszerz
i pytają się dziewczyny:
—"Gdzie tu gdzie tu twój jedyny?
Powiedz, jeśli wiesz!

Będziem ponad ziemią furkać,
będziem gubić szare piórka,
żeby z nich miał strój.
Jak je wiatr ku niemu zwieje,
to na białą czapkę wdzieje
albo na hełm swój!"

A dziewczyna, choć im rada,
przepiórzycom tak powiada:
—"Nie zrzucajcie nic!
On pojechał hen—za morze,
kędy w falach gasną zorze,
bo chce Niemca bić!

Wstałam rano, poślad zmełłam,
na żur gorzki chwastów spełłam—
tęsknię cały czas. . . .
Oj, powiadaj, przepióreczko,
kiedy znowu w ogródeczku
zjawi się mój Jaś?

Zastukają podkóweczki—
wróci do swej przepióreczki
z pod Kraśnika zuch.
Jak powróci, jak przybędzie,
to i Niemca precz wypędzi,
bo to chwat za dwóch!"

Zmarkociły się przepiórki;
poleciały za pagórki
w stronę krwawych zórz,
ale piórka jej zrzuciły,
by je znalazł Jasio miły,
kiedy wróci już.

Antoni Bogusławski



Piechota „Auto Stop"



Wyjazd z urlopu. Szkocja, kraj serdeczności

rys. Marian Smarzewski

Przegląd polityczny

Mylny pogląd, wypowiadany przed rokiem 1939, że nadchodząca wojna będzie przypominała kampanię europejską z roku 1914-1918 lub wojnę polsko-bolszewicką z 1920—*stał się jedną z przyczyn klęski zarówno Francji jak i Polski.* Piszemy: jedną z przyczyn, albowiem były jeszcze inne powody sukcesów niemieckich, na które nie zwracano dostatecznej uwagi w stolicach państw zagrożonych przez imperializm hitlerowski. Nie zdawano sobie np. sprawy z ogromnej roli, jaką może odegrać *czynnik psychologiczny*—działalność propagandowa, zarówno jawna jak i ukryta, praca Goebbelsa i podstępna robota piątej kolumny.

Czynnik psychologiczny, wprowadzony przez Niemców w tej walce, stanowiło rozkładowe działanie za pomocą bardzo sprytnie szerzonego defetyzmu, niewiary w zwycięstwo, dalej oskarżanie sprzymierzenców o "zdradę," wreszcie moment zakoczenia i terror, szerzony przez zastosowanie nowych sposobów walki powietrznej i czołgowej. Te moralne bakterie rozkładu zapewniły Niemcom powodzenie we Francji. Natomiast silny opór społeczeństwa brytyjskiego nie pozwolił Hitlerowi na odniesienie najmniejszych nawet sukcesów w wojnie z Anglią. Nie udała się wielka, niemiecka próba zastraszenia lotniczego w sierpniu i wrześniu 1940. Nie powiodły się plany Grazianiego, polegające na wywołaniu psychozy strachu w Egipcie i nad Morzem Czerwonym. Nie udało się zaskoczenie Grecji samą tylko groźbą inwazji. I wreszcie z wielkim hukiem i bardzo efektownie, ale bez poważniejszych następstw pękają *fajerwerki japońskie.*

Jaką rolę wyznaczył Hitler w swych planach Japonii? Pisaliśmy już w sierpniu 1940 roku, że polityka niemiecka *dąży do sprowokowania wojny japońsko-amerykańskiej, aby odciągnąć uwagę Stanów Zjednoczonych od spraw europejskich.* Innymi słowy: chodziło o wywołanie w Ameryce wrażenia, że punkt ciężkości interesów amerykańskich znajduje się nie na Oceanie Atlantyckim, ale na Oceanie Spokojnym. Tego rodzaju dążenia znalazły natychmiastowy oddźwięk w tak zwanej polityce izolacjonistycznej, robocie kierowanej przez propagandę niemiecką w Stanach, a mającą na celu zwalczanie jakiejkolwiek pomocy, którąby Ameryka mogła udzielić Wielkiej Brytanii.

—Jak można awanturować się w Europie—pisały dzienniki izolacjonistyczne w Stanach—kiedy zagrożone są nie tylko Filipiny, ale i wyspy Hawajskie, co gorzej: wybrzeża Kalifornii!

Była to robota bardzo przejrzysta i Roosevelt zdawał sobie doskonale sprawę z jej celów. Sekretarz Stanu Cordell Hull określił jeszcze w listopadzie 1940 sytuację, w jakiej znalazła się Ameryka:

—Jeżeli by runęła—mówił—zapora angielska na Atlantyku to atak na Stany Zjednoczone jest pewny. I to atak z dwóch stron jednocześnie. Japonia jest tylko kartą w ręku Hitlera, jednym z jego atutów, którymi chce nas straszyć.

I te groźby japońskie, do jakich należy i koncentracja floty Mikada na wodach chińskich i nacisk na Indochiny i wszelkie intrygi w Bangkoku, stolicy Siamu, i wreszcie niesłychanie ostry ton prasy rządowej w Tokio—nie wpłynęły w najmniejszym stopniu na zmianę postanowień Waszyngtonu. Przeciwnie, wypadki na Dalekim Wschodzie utwierdzają tylko co raz bardziej społeczeństwo amerykańskie w przekonaniu, że głównym nieprzyjacielem, wrogiem nr. 1—są Niemcy, zródło całej akcji przeciwko wolności ludów anglosaskich i całego świata.

I reakcja na demonstracje japońskie w Wielkiej Brytanii i Stanach jest zupełnie odmienna od tej, jaką stosowano dotychczas. W ciągu ostatnich 10 lat polityka zarówno Londynu jak i Waszyngtonu, szła, w stosunku do Japonii, po linii ustępstw. W roku 1931 atak na Mandżurię nie spotkał się z energicznym i skutecznym protestem państw anglo-saskich. W roku 1937 napad na Chiny przyjęto do wiadomości tylko z największym ubolewaniem. W roku 1940, w lipcu, W. Brytania, walcząca z powietrzną inwazją niemiecką—szła do tego stopnia na rękę Japonii, iż zamknęła nawet drogę birmańską, najważniejszą arterię łączącą Chiny z Indiami.

Natomiast w lutym 1941 zarówno Churchill jak i Roosevelt podjęli rękawicę. Na koncentrację floty japońskiej—odpowiedziano *wzmocnieniem bazy w Singapore i wysłaniem okrętów wojennych amerykańskich na wody sundajskie.* Po tygodniu, w którym groźba wojny z Japonią wisiała na włosku, nastąpił nowy chwyt w tej walce nerwów: nieoczekiwane pośrednictwo Japonii w sprawie pokoju. Gdy rządowi w Tokio dano do poznania, że wtrąca się w sprawy europejskie, do których oceny nie jest powołany—nastąpił nowy atak polityki japońskiej, skierowany powtórnie przeciwko Indo-Chinom bezpośrednio a pośrednio godzący w interesy brytyjskie i amerykańskie.

Nie ulega wątpliwości, że będzie on odparty przez oba rządy anglo-saskie, których linia polityczna uzgadnia się co raz to bardziej we wszystkich sprawach światowych. Niemcy, wygrywający kartę japońską, zdają sobie już sprawę z faktu, że wojna japońsko-amerykańska pociąga za sobą automatycznie wojnę między Stanami a Trzecią Rrzeszą. Najbliższa przyszłość okaże, czy Hitlerowi zależy na sprowokowaniu tej walki.

W każdym razie propaganda niemiecka w Stanach musi zanotować dalsze porażki: izolacjoniści stają się najbardziej niepopularną partią w Ameryce, tym bardziej, że główną rolę odgrywają w niej, podobnie jak to było we Francji, różni, mocno podejrzani aferzyści i rycerze wielkiego przemysłu.

Drugim terenem działalności niemieckiej jest półwysep bałkański. Już dawno zaznaczaliśmy w naszych przeglądach, że Hitler będzie starał się, po całkowitym skompromitowaniu Mussoliniego—ratować faszyzm, jako ekspozyturę własnej partii nazistowskiej we Włoszech. Z chwilą, kiedy Grecy zagrażają Valonie—trzeba wywrzeć nacisk na Ateny w kierunku zawarcia odrębnego pokoju i starać się o zneutralizowanie Turcji. Stąd początek okupacji Bułgarii i koncentracja ogromnej armii niemieckiej "Bliskiego Wschodu" w Rumunii.

Sytuacja na Bałkanach nie jest jasna, przede wszystkim z powodu bardzo niepewnego stanowiska Rosji. W początku bieżącego roku, Rosja zachęcała Bułgarię do oporu, proponując nawet coś w rodzaju wspólnego paktu. Z chwilą silniejszego nacisku Niemiec—rząd sowiecki zmiękł i miał nawet oświadczyć, że sprawy bułgarskie nie leżą w kręgu jego interesów. Z drugiej strony, według pogłosek ze źródeł neutralnych—Moskwa miała podjąć inicjatywę zawarcia układu o nieagresji między Bułgarią a Turcją. Sens tego układu ma polegać na tym, że w razie ataku Niemiec na Turcję—Bułgaria zachowa całkowitą neutralność i nie będzie zbrojnie pomagać Hitlerowi.

Ale, jak już zaznaczyliśmy—sytuacja w tej części Europy jest więcej niż zagadkowa. Czy Rosja, w razie ataku Trzeciej Rzeszy na Konstantynopol, udzieli Turcji pomocy materialnej i gospodarczej? Czy też Stalin powtórzy swój "chwyt polski," to znaczy w ostatniej chwili zawrze z Hitlerem układ, dzielący Turcję między Niemcy i Sowiety?

Na Kremlu obawiają się przewagi niemieckiej, ale z drugiej strony zdają sobie sprawę ze słabości państwa Sowietów. Hitler okrąża Rosję ze wszystkich stron: czy groza niebezpieczeństwa nie wpłynie w Moskwie na podjęcie stanowczego postanowienia? Sowiety wykręcają się jak mogą od wojny i nie ulega wątpliwości, że w interesie Stalina leży osłabienie, możliwie jak największe wszystkich państw Europy i świata. Ale czy długo będzie mógł prowadzić dyktator Rosji podobną politykę? Nacisk Niemiec w kierunku Konstantynopola jest bardzo niepokojący i nie ulega wątpliwości, że spędza sen z oczu władcom Kremlu.

Nie jest również wykluczone, że przygotowania niemieckie na Bałkanach mają podwójny cel: ratowanie Włoch a zarazem odwrócenie uwagi od zachodniej części Morza Śródziemnego. Co raz częściej mówi się o podjęciu wielkiego ataku na Gibraltar poprzez Hiszpanię oraz ofensywy łodzi podwodnych włosko-niemieckich na Baleary, by w tym, bardzo ważnym pod względem strategicznym punkcie stworzyć wypadową bazę morską.

Akcja niemiecka idzie jednocześnie w trzech kierunkach: Pierwszy: Bułgaria, Turcja i Grecja, to jest Bliski Wschód. Cel: *opanowanie złoży naftowych w Mossulu i atak na Kanał Sueski, może nawet próba dywersji w Indiach.* Drugi teren: *Hiszpania i Marokko zarówno hiszpańskie, jak i francuskie.* Cel: *zamknięcie Morza Śródziemnego od strony zachodniej.* Trzeci: *Daleki Wschód, z przejrzystym celem odciągnięcia uwagi Ameryki od spraw europejskich.*

Nacisk niemiecki jest bardzo silny, ale postawa Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych więcej, niż stanowcza. Wielkie demokracje zachodnie nie tylko się bronią, ale przechodzą do ataku. A to jest najlepsza metoda w walce z gangsteryzmem, przygotowującym zamach na cały świat.

tk

Z prasy żołnierskiej

I Polska i armia nasza w Wielkiej Brytanii to samo mają obecnie zadanie przetrwać aż nadejdzie chwila rozprawy. W szczęśliwszym położeniu są jedynie polscy lotnicy i marynarze, oni już walczą. Inni jednak muszą trwać.

Żołnierz polski "*przygotowywuje się do skoku*—pisze "Odwet"—*nie określając wcale, kiedy ten jego "skok" nastąpi. Tego się nie da określić w czasie. A zdaje się, że się tak składa, że i w przestrzeni dzisiaj nie można niczego określić. Trzeba czekać i trwać.*

"*Nasz charakter narodowy buntuje się przeciw czekaniu, chcielibyśmy już,—bij, zabij!—a tu przecież i rozumowe założenia istnieją, które nakazują wypracować wszystko należycie i wyczekać na odpowiedni moment.*

"*Właśnie ta umiejętność wyczekania i nietrwonienia własnych zasobów, a nawet jeszcze ich rozszerzanie—decyduje we wszystkich rozgrywkach.*"

Teraz pracą jest trwanie, aby przetrwać. I słusznie konkluduje "Odwet" wierząc, że będziemy mieli jeszcze okazję—odwetu:

"*Ale trzeba wyczekać, spokojnie i rozumnie, nie przejmując się rzeczami drobnymi.*"

Wypadek być może drobny, ale chlubnie świadczący o sumienności żołnierskiej i poczuciu obowiązku notuje "Dziennik Żołnierza."

"*D-ca* 10. *Bryg. Kaw. Pancernej*—donosi "Dziennik Żołnierza"—*w jednym ze swych ostatnich rozkazów wyraża pochwałę wymienionemu imiennie wachmistrzowi za to, że w czasie ewakuacji wojska naszego z Francji do Anglii pozbierał z własnej inicjatywy sprzęt optyczny i mierniczy porzucony w porcie, a nie należący do zestawu* 10 *B.K.P., że zabrał go ze sobą na okręt, opiekował się nim w czasie drogi, a po przybyciu do Anglii, oddał go polskim władzom wojskowym.*"

Faktów takich, lub jemu podobnych, o których się wie, a o których zbiegiem różnych okoliczności nie zawsze dotąd pisało się znaleźlibyśmy napewno wiele. Świadczą one chlubnie o sile moralnej armii, która ma takich żołnierzy. I taką armią musimy pozostać.

"*Każdy z nas*—konkluduje "Dziennik Żołnierza" — *bez względu na stopień jaki posiada, jest współodpowiedzialny za honor munduru i za wspólny dorobek. Całem swem postępowaniem, swem pojmowaniem służby i zachowaniem się w życiu prywatem musimy uzasadniać i gruntować dobrą o nas opinję.*"

W. L.

Skrzynka pocztowa

Autor podpisujący się pseudonimem "Półkozic" otrzymał z powodu artykułu: "Pogotowie duchowe," druk. w nr. 4 "Polski Walczącej" następujący list:

Szanowny Panie!

Proszę wybaczyć śmiałość moją, iż pozwalam nieznany Panu podejmować z Nim korespondencję. Skłonił mnie do tego kroku przeczytany w "Polsce Walczącej" artykuł pióra Pana pt.: "Pogotowie Duchowe."

Do żywego poruszył mnie, nietyle jego forma ani treść, co jego cel i poruszony przedmiot.

Przed niedawnym czasem napisałem bowiem pracę do "Bellony" pt.: "Przemiany Sposobów Walki," gdzie przeprowadziłem mozolny wywód matematyczny w tej samej materii.

Będzie może dziwnym wydawać się Panu takie postawienie sprawy, ale—o ile Redakcja "Bellony" uzna za właściwe umieścić artykuł na łamach tego pisma będzie Pan miał sposobność przekonać się o ścisłości mego spostrzeżenia.

Problem siły duchowej w każdej walce, nietylko w zmaganiach narodów na polu walki, wyłaniał się stopniowo na plan pierwszy, w miarę jak środki materialne zawodziły lub były na wyczerpaniu. Obecnie zaś, kiedy rozwój kultury materialnej przekroczył już szczytowy punkt rozwoju w danych warunkach, lub do tego punktu się zbliża, wszyscy przypomnieli sobie o doniosłości i zasobach możliwości realnych, jakie dla celów walki i zmagań przynosi ze sobą i jakie kryje w sobie współczynnik sił duchowych.

Kiedy przeto przeczytałem pracę Pana i z radością prawdziwą spostrzegłem, jak Pan, odkrywszy tą prawdę, zgadza się z wywodami moimi prowadzonymi zgoła odmiennymi drogami, przyszedłem do przekonania, że rozumowanie moje znajduje w tym właściwe potwierdzenie. Nie uważałem tego bynajmniej za moment zadowolenia dumy własnej, lecz doznałem radości właściwego odkrycia:

Nie mogłem powstrzymać się tedy od napisania Panu tych paru myśli, co zostało mi umożliwione dzięki uprzejmości redaktora "Polski Walczącej," który pośpieszył z gotowością pośredniczenia w korespondencji.

Proszę wybaczyć mi, że zajmowałem czas Pana tym listem i przyjąć wyrazy głębokiego szacunku:

Tadeusz Śmigielski

* * *

"Z pisma WPanów korzystam nie tylko ja sam, ale zarazem i liczni osadnicy polacy w lasach parańskich, wśród których mieszkam, a którzy z powodu restrykcji prasowych tu istniejących w stosunku do prasy polskiej, pozbawieni są wiadomości o naszych poczynaniach narodowych w tej dobie, skutkiem czego często podupadają na duchu.

Jestem urlopowanym na czas wojny urzędnikiem Poselstwa R.P. w Argentynie. Mój stosunek do Armii Polskiej polega na tym, że jestem rezerwistą Mar. Woj. i b. legionistą z II. Brygady. Czytując nadsyłane mi czasem z Poselstwa lub z konsulatu w Kurytybie numery "Polski Walczącej," odnalazłem w jej nastawieniu pokrewny mi duchowo kierunek ideologiczny i radbym nawiązać kontakt."

Władysław Wójcik
Tereza Cristina via Ponta Crossa
Parana-Brasil

* * *

"Dziękując za list i za przesyłki 'Polski Walczącej" zawiadamiam, że dziś wysłałem 15 szylingów za 15 egzemplarzy 'P.W.' Adres administracji podałem—jak w ostatnim numerze 'P.W.' Tygodnik otrzymujemy regularnie w sobotę. Złożyliśmy się po 3 pensy każdy i z tego wyszła suma okrągłych 15 szyl.

"Ostatni numer miał, podobnie jak i inne, sporo ciekawostek, ale o poprzedni, poświęcony naszej flocie wojennej, byłoby się bractwo o mały włos pobiło. Bodajże wszystkie numery, po ich przeczytaniu i "obgadaniu" od A do Zet, spoczęły na dnie walizek tam, gdzie chowa się te 'souveniry,' z którymi nawet w najgorszej ostateczności nikt by się nie chciał rozstać. Piękny numer.

"Kończąc, jeszcze raz dziękuje za wszystkie informacje i za uprzejme załatwienie naszej prośby o 'P.W.'"

Jacek Strzyżewski (*R.A.F.*)

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh. 6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

Redakcja zwraca się z prośbą do osób posiadających egzemplarze "Polski Walczącej," wydawanej we Francji (w obozie Coetquidan, później w Paryżu) —o ich wypożyczenie pod bezwzględną gwarancją zwrotu. Egzemplarze te są potrzebne do sfotografowania dla celów propagandowych i archiwalnych.

Osoby, które by chciały odstąpić pojedyncze egzemplarze lub komplet "Polski Walczącej" z okresu francuskiego proszone są o podanie warunków na jakich były by gotowe to zrobić.